Nr. 5. Poznan, Niedziela dnia 30 stycznia 1910. Rok XIV.

# PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

| | | |
|---|---|---|
| przy czteroraz. (miesięczn.) | „ | 15% |
| „ kwartalnem 13 × | „ | 25% |
| „ półrocznem 26 × | „ | 33⅓% |
| „ rocznem 52 × | „ | 50% |

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 97.

„PRACA“ powinna znajdować się w każdym domu szczerze polskim.

Nr. 5. Poznań, dnia 30 stycznia 1910 r. Rok XIV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

# PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



## Kanclerz przemówił.

Gdy się toczyły rozprawy w parlamencie nad interpelacyami w sprawie przesiedlania nauczycieli i innych urzędników z powodu ich głosowania za polsko-centrowymi kandydatami kompromisowymi przy wyborach komunalnych w Katowicach, jeden z mówców zganił ostro kanclerza rzeszy, że w tej ważnej sprawie sam nie zabrał głosu, jako jedyny w rzeszy odpowiedzialny urzędnik, lecz wysłał na mównicę nieodpowiedzialnych sekretarzy stanu.

Apel ten snać nie przebrzmiał bez wrażenia. Gdy bowiem ta sama sprawa znalazła się na porządku dziennym obrad sejmu pruskiego, p. v. Bethmann-Hollweg pojawił się we własnej osobie w izbie, by bronić stanowiska rządu pruskiego i odpowiedzieć na krytykę, na jaką się tenże w sprawie katowickiej naraził.

Pan kanclerz ma rozum. Milczał w parlamencie, gdzie przeczuwać musiał przegraną i klęskę. Rozwiązały się wszakże usta kanclerskie na gruncie dla wstecznej i hakatystycznej wymowy ministeryalnej nader sposobnym...

Nie będziemy tu powtarzali całej mowy prezesa ministrów, a nawet pominiemy milczeniem jego „argumentacyę“ co do materyalnej strony spornej sprawy. Pan v. Bethmann-Hollweg powiedział bowiem w sprawie tej mniej więcej to samo, co z ust p. Delbrücka słyszeliśmy w parlamencie, a co oczywiście przekonać nie mogło ludzi, uważających także urzędników państwowych za obywateli wolnych, mających prawo korzystać z dobrodziejstw, jakie daje konstytucya. Lubo to sprawa ważna i zasadnicza, to jednak bez porównania ważniejsza dla nas dowiedzieć się, co p. prezes ministerstwa pruskiego i kanclerz rzeszy myśli o Polakach i o polityce antypolskiej rządu pruskiego.

Otóż uważa on politykę antypolską za dobrą i do celu wiodącą. Zatem oświadcza się za nią z całą stanowczością i zaręcza, że ją dalej uprawiać będzie. Powiada się wprawdzie — tak mówił pomiędzy innemi kanclerz — że właśnie pruska polityka antypolska wytworzyła szowinizm u Polaków. Na to zapatrywanie kanclerz się nie godzi. Sądzi on raczej, że chociaż Polacy zrezygnowali z polityki powstań, ponieważ przekonali się, że ona do celu nie wiedzie, i chociaż nawet rozsądniejsi przywódzcy ruchu polskiego wzbraniają się odsłonić swych najwyższych i ostatnich ideałów, to jednak zaprzeczyć się nie da, że myśl i nadzieja utworzenia niezawisłego polskiego państwa stanowi właśnie ów duchowy pierwiastek, który wszystkich Polaków łączy, i który ruchowi polskiemu udziela sił i rozmachu. Gdyby ruchowi polskiemu bowiem nie przyświecała taka idea, natenczas nie zdobyliby się nigdy przenigdy na tyle i tak wielkie materyalne i duchowe ofiary, które na ołtarzu tej idei składają wszyscy członkowie polskiego narodu, nawet ci, których los zagnał na drugą półkulę globu ziemskiego.

Posłowie polscy wprawdzie wypierają się zamiarów oderwania dzielnic polskich od Prus i stworzenia państwa polskiego, tymczasem jednak agitatorzy w kraju pracują nad tem, by w każdym Polaku wytępić przywiązanie do pruskiego państwa.

Taki ruch oczywiście zdaniem kanclerza usilnie zwalczać należy i to przez stosowanie polityki antypolskiej. Prusy zdaniem kanclerza nie mogą uprawiać polityki małodusznej, któraby zwątpiła o możności zachowania preponderancyi niemieckiej w dzielnicach polskich. Do tego zaś celu zmierza polityka szkolna i kolonizacyjna akcya rządu pruskiego. Kanclerz zdaje sobie sprawę, że nawet i ta polityka od razu nie złamie ruchu polskiego. Na to ten ruch za głębokie puścił korzenie. Jednakże nie wątpi, że polityka ta zdoła wzmocnić niemczyznę tak dalece, że ruch polski mimo cały swój rozmach żadnej jej nie wyrządzi szkody. Tej pracy dokonać — to zadanie państwa pruskiego. Zadanie, które wypełnić musi nie tylko we własnym, lecz w całych Niemiec interesie.

Kanclerz odpiera zarzuty, jakoby ta polityka dotychczas żadnego pozytywnego dla niemczyzny nie wydała wyniku. Wskazuje więc na 15 000 gospodarstw i 450 wsi niemieckich założonych w dzielnicach polskich, na wielkie postępy, jakie w dziedzinie osiedlania niemieckich chłopów poczyniono i zaznacza, że wewnętrzną kolonizacyę uważa za konieczny warunek skutecznego przeciwdziałania rozrostowi polskiemu. Na koniec ostrzegał kanclerz, by nie wymagano przed czasem owoców od pracy, która z natury rzeczy na dłuższą obliczona jest metę i zakończył swą mowę wezwaniem do jedności wszystkich Niemców bez różnicy partyjnej przeciwko nie-

bezpieczeństwu polskiemu. Kanclerz odrzuca myśl o polityce pojednawczej i sądzi, że dopiero wtedy ustanie walka narodowościowa, gdy Polacy się przekonają, że poruszanie czarno-białych pruskich słupów granicznych na nic się nie przyda.

Również bezwzględnie przemawiał minister oświaty p. v. Trott zu Solz, a mówcy konserwatywnych partyj i liberałów basowali wywodom przedstawicieli rządowych. Po naszej stronie stali centrowcy, wolnomyślni i socyaliści. Z polskich posłów przemawiał z powodzeniem p. Dr. Zygmunt Seyda z Katowic, który na wywody pana kanclerza co do naszych tendencyj budowania Polski w tych mniej więcej odpowiedział słowach:

To, co prezes ministrów mówił tutaj o oderwaniu się Polaków od Prus, należy do dziedziny bajek dziecinnych. Prezes ministrów nie ma prawa charakteryzować tak sobie z fantazyi uczuć Polaków, bez przedłożenia ścisłych dowodów, które tylko w czynach mogą się uwydatniać. Tych czynów ze strony polskiej przeciw egzystencyi państwa pruskiego nikt nie może przytoczyć, bo ich nie ma. Im bardziej rząd pruski oddala się od podstawy prawa, tem więcej będziemy zwolenników naszych objaśniali o słuszności naszego stanowiska, nie schodząc ani na krok z gruntu legalnego. Za nami stoi prawo, konstytucya i sprawiedliwość.

Hakatystyczne gazety, pisząc o rozprawach sejmowych, zaznaczają, że stanowiły one świetne zwycięstwo dla rządu, a klęskę dla Polaków i centrowców. Tak wszakże sądzić tylko może ktoś, kto w rachubę bierze siłę liczebną partyj, oświadczających się za polityką rządu. Ludziom jednak, którzy mierzą zwycięstwo nie według brutalnej liczby głosów, lecz ważą argumenty — rzekome to zwycięstwo w bardzo wątpliwem się przedstawi świetle. Oczywiście, że większość stanęła po stronie rządu. To było z góry wiadomą. Jednakże obrona stanowiska rządowego była po stronie przedstawicieli i popleczników rządowych tak słaba, argumentacya tak marna, że chwilami wprost humorystyczne sprawiała wrażenie. Tymczasem przeciwnicy antypolskiej polityki — przedewszystkiem centrowy mówca Dr. Porsch w dwóch znakomitych przemowach swoich — wytoczyli tak druzgoczący materyał dowodowy przeciwko twierdzeniom rządowców, tak świetnie operowali rzeczową i przekonywującą argumentacyą, że osiągnęli wprost niezwykły w izbie sejmowej sukces moralny. Kto bez uprzedzeń śledził przebieg dwudniowych rozpraw sejmowych, musi zaświadczyć, że pełne moralne zwycięstwo osiągnęli przeciwnicy antypolskiej polityki. Rząd w sejmie tak samo jak przedtem w parlamencie znalazł się na ławie oskarżonych i nie znalazł rzecznika, który by go był obronił. Nie znalazł go, bo znaleźć nie mógł. Stał bowiem po stronie sprawy, która sama na siebie druzgoczący wydała wyrok.

I jeszcze kilka uwag.

Rozprawy sejmowe, a w szczególności mowa kanclerza ma tę wielką zaletę, że wyjaśniła ponownie należycie stosunek, jaki zachodzi pomiędzy rządem i partyami rządowemi z jednej, a społeczeństwem polskiem z drugiej strony. Dowiedzieliśmy się, że rząd pruski nie ma zamiaru, ani na cal ustąpić z drogi, jaką antypolskiej polityce wytknęli Bismarck i Bülow. Wszelkie zatem liczenie się ze zmienionemi jakoby prądami u rządu i konserwatystów pozbawione jest absolutnie wszelkiej realnej podstawy. Dowiedzieliśmy się, że rząd i solidaryzujące się z nim stronnictwa konserwatywne i liberalne będą nas zwalczać bez względu na to, czy zajmiemy stanowisko umiarkowane, czy też nieprzejednane. Starczy, że jesteśmy Polakami. Wszakże nawet mimo przyznania ze strony kanclerza, że „Polacy zerwali z polityką powstań“ mamy być nadal wydani na pastwę polityki antypolskiej, ponieważ ideał niezawisłego państwa polskiego, który według słów kanclerskich tak przedziwnie krzepi siły polskie, żyje w piersi każdego Polaka. Jak gdyby idea zachowania i budowania narodowości i kultury narodowej nie mogła ludzi zapalać do takich samych wysiłków moralnych i materyalnych, i tak samo krzepić wątlejące w walce siły, jak ideał państwowości samodzielnej!

Przeciwnicy nasi odrzucają wszelką ugodę, każdą myśl o porozumieniu póty, póki nie wyrzekniemy się nie tylko ideałów naszych narodowych, lecz póki nie zaprzemy się języka naszego i nie staniemy się Niemcami z przekonań i uczucia. Ponieważ to nie nastąpi nigdy, bo nastąpić nie może, przeto musimy się pogodzić z myślą, że walka, jaką obecnie toczymy, toczyć się będzie nadal ze zdwojoną siłą.

My tej walki się nie lękamy. Wiemy bowiem, że ostateczne zwycięstwo musi być po naszej stronie. To bowiem, co przeciwnicy nasi z nami uczynić pragną, jest niczem innem, jak zamiarem zgwałcenia praw przyrody. Te zaś silniejsze są od ludzkiej woli. Udało się ludziom z konia i osła wyprodukować bezpłodnego muła. Lecz świat nie widział, aby się koń w osła zamienił. Cuda się nie dzieją przeciw woli Bożej. A cudem zaiste byłoby, gdyby naród tak liczny jak nasz, posiadający taką historyę, taką żywotność bogatą, tak wspaniałą i potężną kulturę, tak wybitną i odrębną indywidualność i taką żądzę życia samoistnego, miał się przemienić w naród inny, do tego w naród pod każdym względem naszemu obcy. Szaleństwem byłoby w to uwierzyć! Mogą ginąć jednostki polskie na rzecz niemczyzny, nie może się jednak cały naród roztopić w drugim. Póki zaś naród polski istnieć będzie, póty istnieć będzie kwestya polska i domagać się rozwiązania. Rozwiązać zaś może ją jedynie... sprawiedliwość.

* * *

W ten sam dzień, na którym w sejmie omawiano sprawę katowicką, w parlamencie rozpatrywano interpelacyę wolnomyślnych w sprawie wykonywania ustawy o stowarzyrzeniach.

Jak wiadomo zawiera ustawa ta (obok pewnych ulg) znany w całym świecie wyjątkowy paragraf językowy, nie dopuszczający nieniemieckich rozpraw na zebraniach odbywających się w okolicach nie zamieszkałych przynajmniej przez 60 proc. ludności nieniemieckiej.

Jakie na podstawie tego paragrafu, i wogóle wskutek nieznajomości samejże ustawy ze strony urzędników działy się w ostatnich kilkunastu miesiącach niewłaściwości w naszych stronach, wszystkim, którzy czytają gazety, wiadoma. Tu żąda się od zarządu towarzystw bezprawnie spisu członków; tam wdziera się policya na zebranie zamknięte, ogłasza je jako publiczne i rozwięzuje je dla tego; ówdzie odpędza się Polakom sale na zebrania, a nie udziela pozwolenia na odbycie zebrania pod gołem niebem; jeszcze gdzie indziej, jak na wychodźtwie n. p., podporządkowuje się towarzystwa, nie mające żadnych celów politycznych, pod rygor § 3, z czego wynikają przeróżne nieprzyjemności. Zresztą i w czysto niemieckich stronach zachodziły rozliczne niedogodności i nieprawidłowości na tle tej ustawy. Na zjeździe socyalistycznym n. p. nie pozwolono przemawiać delegatowi z Anglii po angielsku. W Wrocławiu zabroniono na zjeździe katolików mówić po polsku i t. d. i t. d.

Interpelacya ta dała sposobność także i naszemu posłowi ks. prał. Stychlowi do należytego wytoczenia skarg ludności polskiej w tej mierze. Ks. poseł Stychel nie ograniczył się wszakże tylko na tem, lecz w sposób bardzo silny i dosadny skrytykował całą ten-

dencyę antypolskiej polityki. Ponieważ to, co mówił przedstawiciel nasz w parlamencie, w wielkiej mierze odnosiło się do sejmowej antypolskiej mowy kanclerza, przeto przytaczamy na tem miejscu jego drgające słusznem oburzeniem słowa.

Do czego — tak powiedział mówca polski — wszystkie szykany policyi i krępowania towarzystw i zebrań polskich zmierzają, rozumiemy doskonale. Chcą nas zniszczyć, zgnębić choćbyśmy byli najspokojniejszymi obywatelami państwa, wypełniającymi wszystkie obowiązki.

Dziś właśnie w sejmie pruskim w sprawie o zajścia w Katowicach wziął udział prezes ministrów pruskich i kanclerz, p. Bethmann-Hollweg i z całą bezwzględną szczerością odkrył karty swoje i pruskiej racyi stanu. Powiedział wyraźnie, że postępowanie władz pruskich w Katowicach tłumaczy się poprostu istniejącem **„niebezpieczeństwem polskiem.“** Wszystko to zarówno, czy Polacy są radykałami, czy umiarkowanymi. **W każdym razie zagrażają państwu!**

To, co kanclerz powiedział, wiedzieliśmy od dawna i zawsześmy twierdzili, że w dyskusyach parlamentarnych dla obrony rządu stawiane nam zarzuty to tylko **puste frazesy.**

Sam fakt naszego istnienia jako Polaków nie pozwala spać spokojnie rządowi, który też dąży, używając pierwszych lepszych bylejakich pozorów, **do zniszczenia nas dla tego, że jesteśmy Polakami.**

Możemy tylko ponowić jak najenergiczniejszy protest przeciw takim aspiracyom rządu, który wobec wszystkich obywateli państwa winien równomiernie i sprawiedliwie spełniać swoje obowiązki.

Co się zaś tyczy ustawy o stowarzyszeniach, to żądać musimy stanowczo, żeby niesprawiedliwy, wyjątkowy i bezcelowy paragraf dwunasty (tj. językowy) jak najwcześniej został usunięty.

Słowa te należycie oddają zapatrywania całego społeczeństwa polskiego. Jak zaś wyjęte były z najgłębszych przekonań Koła polskiego wynika z nie zwykle hucznych braw, które im towarzyszyły na ławach polskich.

My do tych słów nic nie mamy do dodania. Życzylibyśmy tylko, żeby rząd namyślił się nad tem, czy dobrze jest dla państwa, jeżeli 10-ta część jego mieszkańców w ten sposób charakteryzuje stosunek panujący pomiędzy rządem a sobą? Czy nie byłoby rzeczą pożądaną i konieczną w interesie samegoż państwa, aby inne pod tym względem nastały zapatrywania?...

Zaiste przypomina się człowiekowi stary Oxenstierna, który o rozumie rządzących bardzo pesymistyczne miał wyobrażenie....



## Z estrady koncertowej.

W poniedziałek, d. 24 bm. odbył się na starej sali Bazarowej urządzony na rzecz Stacyj Sanitarnych koncert amatorski, który liczną i wytworną zgromadził publiczność.

Na wypełnienie wieczoru złożyły się wokalne produkcye p. Wiesławy Cichowiczówny oraz gra na skrzypcach p. Dra Kaźmierza Jarnatowskiego.

Panna Wiesława Cichowiczówna nie po raz pierwszy wystąpiła publicznie. Poznań przed dwoma (zdaje się) laty miał sposobność ją słyszeć. Zeszłej jesieni zaś uczestniczyła z wielkiem — jak donosiły pisma — powodzeniem w koncertach w Paryżu i Londynie. Osoby, które pamiętają pierwszy występ utalentowanej amatorki, nie mogą wyjść z podziwu z powodu olbrzymiego postępu, jaki dostrzegają w jej sztuce. Nie trzeba wszakże zapomnieć, że na te dwa lata przypada czas bardzo sumiennych i poważnych studyj, odbytych pod kierownictwem najwybitniejszych sił nauczycielskich. Piszący te słowa w poniedziałek pierwszy raz miał sposobność słyszeć p. Cichowiczównę i był zachwycony przedewszystkiem przepyszną szkołą, jaką sobie szanowna koncertantka przyswoiła. Rozporządza ona niezbyt wielkim, lecz miłym i ciepłym głosem o wybitnie lirycznem zabarwieniu. Głos ten postawiony we wszystkich pozycyach beznagannie tworzy wdzięczny instrument o wielkiej jednolitości tonu, a znakomita szkoła, którą szanowna amatorka posiada, dozwala jej operować tym instrumentem z wielką finezyą. Dodać należy, że p. Cichowiczówna posiada dykcyę wyraźną i wytworny smak artystyczny, to znaczy, że ma nie tylko możność, lecz także umiejętność wywoływania zamierzonych efektów. Wszystko to składa się na sąd ze wszech miar pochlebny i daje pewność, że głos ten z biegiem czasu rozwinie się jeszcze pełniej i nabędzie tego olśniewającego blasku, którego zaczątki już teraz tak pięknie się uwydatniają.

Pan Dr. Jarnatowski zbyt ugruntowaną i ustaloną już cieszy się w społeczeństwie naszem sławą, aby ją wzmianka reporterska osłabić lub pomnożyć mogła. To też nie będziemy się silić na zanoszenie sów do Aten, nie będziemy wyliczać jego zalet artystycznych, palić kadzideł jego technice wirtuozowskiej i akcentować jego subtélnej intuicyi odtwórczej. Każdy wie, że jest amatorem, który gra jak zawodowy artysta, że w indywidualności jego tkwi spory zasób pierwiastka współtwórczego, który jego sztuce nadaje ów specyalny, interesujący niuans. Kto zaś tego nie wiedział, łatwo mógł się o tem przekonać ze sposobu, w jaki szanowny amator oddał nadprogramowy dodatek „Humoreskę“ Dworzaka. Przepyszna ta kompozycya, zbudowana na podłożu miękkiego słowiańskiego motywu, a oddana przez koncertanta wprost po mistrzowsku przy pomocy (nie przepisanego co prawda) tłumiku, była przykładem jego fascynującego autokratyzmu, wypływającego z wybitnie współtwórczej indywidualności artystycznej szanownego koncertanta.

Akompaniament objął zaszczytnie u nas znany fortepianista p. Mieczysław Eichstaedt i z trudnego zadania wywiązał się z właściwą sobie finezyą.

Zbyteczna dodawać, że publiczność wytworne produkcye koncertantów przyjmowała entuzyastycznie i z wdzięcznością, której widome znaki pojawiły się w kształcie niezliczonych wieńców, bukietów, wazonów i koszów z kwiatami. Słowem cała oranżerya znalazła się na estradzie. Niejedna wielka zawodowa artystka mogła pozazdrościć pannie Cichowiczównie laurów, których winszujemy jej szczerze.

Po koncercie odbył się w pysznie udekorowanej białej sali Bazarowej świetnie udany bal, z którego czysty dochód przeznaczono również na rzecz Stacyi Sanitarnych.

Powracając do koncertu dodać należy, że tego rodzaju występy przyczyniają się walnie do wzmożenia kultury muzycznej w naszem mieście. Z tego powodu poświęciliśmy referatowi więcej miejsca niż to czynimy z okazyi podobnych, lecz pośledniejszego gatunku urządzeń. Nadmienić jeszcze trzeba, że p. Dr. Jarnatowski grał na skrzypcach Stradiwariusza, przedstawiających wartość 28 tysięcy marek. *R.*

---

*Człowiek uczciwy przyznaje się niekiedy do błędów; łotr nigdy się nie przyzna.*

*(z Thackeray'a).*

* * *

*Tajemnicą długiego życia jest mieć potrzeby mniejsze od dochodów.*

*(Zdanie lekarskie.)*

# Z TEATRU.

„Otello“ należy do najlepszych tragedyj Szekspira, jest zatem jednym z najpiękniejszych utworów, jakie wydała literatura dramatyczna wogóle.

Jak do kilku innych tak i do tej tragedyi zaczerpnął Szekspir treść z włoskiej noweli, lecz pod wielu względami oddalił się od pierwowzoru i przekształcił go zgodnie z wymaganiami swego własnego smaku artystycznego i stosownie do potrzeb i warunków twórczości scenicznej. „Otello“ — to tragedya zazdrości. Namiętność ta raz rozbudzona w bohaterze przez podszepty Jagona — osobistość pozbawioną wszelkich niemal cech człowieczeństwa — tak dalece opanowuje półdzikiego, lecz szlachetnego i honor kochającego murzyna, że traci on wszelką równowagę umysłu, staje się niezdolny do jakichkolwiek rozumnych refleksyj, lecz tonie w dzikim szale nieszczęsnej zazdrości tak doszczętnie, że staje się niemal jej personifikacyą. Posądziwszy swą ukochaną a niewinną i wzruszająco naiwną żonę o wiarołomstwo i uwierzywszy w słuszność swego podejrzenia, zgładza ją ze świata, nie tyle ze zemsty, boć kocha ją do ostatka (jeszcze przed uduszeniem całuje jej usta) — ile dlatego, że uważa się za narzędzie w ręku karzącej sprawiedliwości. Przekonawszy się po niewczasie o niepokalanej niewinności Desdemony, wybucha rozpacznym żalem i odrzuca życie, jako rzecz bezwartościową i bolesną; cóż bowiem oprócz śmierci pozostało człowiekowi, którego tragiczny los zepchnął w podobnie straszliwą otchłań nieszczęścia?

Otella grał p. Werowski nie bez powodzenia szczególniej w ostatnim akcie, gdzie miał momenty bardzo szczęśliwe. Na ogół jednak kreacya ta nie wznosiła się po nad przyzwoitą przeciętność, a w początkowych scenach nawet tej skromnej miary nie zdołała osiągnąć. Pan Werowski *grał* Otella, lecz nie potrafił nam zasugerować, że *był* Otellem. Stąd poszło, że kreacya jego nie zdołała głębiej wzruszyć duszy słuchaczy i trwalszego nie zostawiła wrażenia. Może być, że przyczyniło się do tego niezupełne pamięciowe opanowanie wielkiej i trudnej roli.

Panna Turowiczówna objęła rolę Desdemony i wywiązała się z zadania bardzo pięknie. Żałować należy, że nielitościwy ołówek reżysera tak bardzo określił tę niewielką rolę. Wypadła np. prześliczna liryczna scena w ostatnim akcie, która daje artystkom sposobność wdzięcznego popisu, a na słuchacza rzuca czar niezrównanej poezyi. Jakkolwiek było, artystka stworzyła nader sympatyczny, jednolity typ niewieści i grała swą rolę bardzo ładnie. Nie można tego powiedzieć o p. Jarockiej, której rola Jagonowej żony snać zupełnie nie odpowiadała. Dobrym Kassiem był p. Kęcki. Także pp. Czerniak, Boroński i Andruszewski byli na miejscu. Natomiast zupełnie, ale to zupełnie chybioną postacią był Jago w interpretacyi pana Szatkowskiego. Rola ta nie leży absolutnie w zakresie uzdolnień tegoż artysty. I powierzać mu ją, znaczy krzywdzić artystę, który na właściwem sobie polu może się poszczycić niejedną dobrą kreacyą.

Przedstawienie wyreżyserowane było dobrze. Publiczność dopisała.

*R.*

---

## Ekonomiczne znaczenie i wartość patentów.

(Szczególnie na podstawie praw niemieckich)
Napisał inż. dypl. Dr. Maryan Kryzan, rzecznik patentowy w Poznaniu.

(Dokończenie).

W ogólności pamiętać należy, że sprzedaż patentu w całości jest rzeczą stosunkowo rzadką, gdyż nabywca bądź co bądź podejmuje wielkie ryzyko, że wtedy gdy chodzi o znaczną reklamę, musi wykładać duże sumy, co do których wymaga oprocentowania i zwrotu, że więc kalkulować musi nader ostrożnie.

Trzeci sposób wykorzystania finansowego patentów, to jest za pomocą udzielania przywilejów użytkowania czyli licencyi, jest najwięcej skomplikowanym. Wszystkim tym, którzy sami nie mogą się zająć eksploatowaniem patentu, a nie mogą znaleść nabywcy w całości, zalecić jedynie można cierpliwe a skrupulatne wykorzystanie swego prawa za pomocą udzielania licencyi.

Udzielając licencyi pozostaje właściciel patentu panem otrzymanego przywileju, czyniąc posiedziciela licencyi niejako swym lennikiem, pozwalając mu działać w swem imieniu.

Możność udzielania przywilejów użytkowania, nieograniczona w zasadzie co do liczby osób użytkujących, czyni prawo patentowe wielce ruchomą wartością gospodarczą. Podczas gdy udzielony jednostce przez Urząd Patentowy przywilej, iż jej tylko wolno pewien wyrób nowy, pożyteczny dla przemysłu, wytwarzać i sprzedawać, że jej tylko wolno zastosowywać jakieś ulepszenie fabrykacyi, jakiś środek ochronny i t. d., jest wyłączeniem konkurencyi, to udzielenie przez właściciela przywilejów użytkowania daje i współzawodnikom możność korzystania z tych ulepszeń, tak, że z tego jest pożytek dla ogólnego postępu. W ten sposób interes materyalny uprzywilejowanej jednostki, otrzymującej wynagrodzenie za udzielenie swych praw innym, łączy się z interesem publicznym.

Skoro mowa o tem, iż w zasadzie przywilejów użytkowanie udzielać można nieograniczonej liczbie osób, to oczywiście każdy zrozumie, że w praktyce liczba obdarzonych prawem użytkowania zależy od tego, gdzie każdy z nich i w jakim zakresie chce patent wykorzystać, jak długo i t. d. Właściciel patentu zresztą zobowiązany każdemu układającemu się z nim o nabycie licencyi powiedzieć, czy i o ile w państwie, obwodzie lub w mieście, gdzie pertraktujący zamierza działać handlowo, otrzymał ją ktoś inny na ten sam przedmiot, dalej czy patent jest może zależnym częściowo od innego i t. p. W przeciwnym razie za wszelkie szkody względnie uzyskane zyski odpowiada właściciel patentu wedle praw cywilnych.

Najogólniejsza jest licencya udzielona na cały obszar państwa niemieckiego i na cały czas trwania patentu jednej osobie lub towarzystwu, a dalej udzielona na ten sam obręb, lecz na czas ograniczony, n. p. na 5 lat. Licencye na cały czas trwania patentu są stosunkowo rzadkie; zachodzić mogą w razach, gdy trudną jest kalkulacya zysków z patentu, a z drugiej strony nabywca licencyi przedstawia gwarancyę, iż znajomości rynków handlowych i rutyny użyje do jak najlepszego wyzyskania patentu, płacąc właścicielowi stosownie do wysokości swego zysku. Wypłata wynagrodzenia za takie licencye zwykle odbywa się co rok, po obliczeniu obrotu; w wyjątkowych razach może nabywca licencyi zgodzić się na płacenie z góry za pewien okres.

W razie udzielenia licencyi na krótszy czas, na kilka lat i na mniejszą przestrzeń, zależeć oczywiście będzie forma wypłaty wynagrodzenia od warunków i udogodnień, jakie otrzyma od właściciela. Najpospoliciej dzieje się, że licencyę nabywa kupiec, agent, bądź to fabryka, i to na pewną prowincyę, albo na okres kilku lat lub też cały czas trwania patentu.

Właściciel patentu sam może nieraz z korzyścią na okolice, w których zamieszkuje, zatrzymać prawo eksploatacyi patentu dla siebie. Jeżli n. p. ślusarz w Poznańskiem wymyślił praktyczny zamek, na który za pośrednictwem odpowiednich agentów ma oferty o licencye z Berlina, z Saksonii i Westfalii, to oczywiście najkorzystniej pewno się urządzi, gdy udzieli licencyi jednemu na Berlin i Brandenburgią, innemu na Saksonią, trzeciemu, znającemu stosunki na zachodzie Niemiec, na tamtejsze prowincye, a sam zatrzyma dla siebie znane sobie prowincye wschodnie.

Szczegóły układu o licencyę podlegają, jak wszelkie umowy z zakresu prawa cywilnego w razach wątpliwych badaniu, jaka była wola kontraktujących. Jeśliby n. p. licencya opiewała, że nabywca jej może fabrykować przedmiot patentowy w swej pracowni i sprzedawać gdzie mu się podoba, i na to prawo byłoby umówione ryczałtowo wynagrodzenie co rok płatne, to w razie gdyby nabywca licencyi rozpoczynając fabrykacyę pracował z 10 robotnikami, a po kilku latach założył filie fabryki i zatrudniał 300 robotników, miałby właściciel patentu prawo żądać podwyższenia wynagrodzenia. Sądy by mu je przyznały. Ale przykład powyższy wskazuje zarazem, że najlepiej przewidzieć w układzie różne możliwości, i gdy n. p. wynagrodzenia nie płaci nabywca licencyi od sztuki sprzedanej, lecz ryczałtowo, z góry zaznaczyć, jak w razie zwiększenia interesu ma się powiększyć wynagrodzenie. Ryczałtowo wynagrodzenie jest o tyle przyjemniejszem dla właściciela patentu, że nie potrzebuje zajmować się kontrolą, ile nabywca licencyi fabrykuje i sprzedaje, i że ma coś pewnego bez względu na zmniejszony lub zwiększony popyt na przedmiot patentowany. Z drugiej strony, gdy przedmiot jest pokupny, więcej może mieć właściciel patentu z wynagrodzenia od sztuki, ale tylko wtedy, gdy nabywca licencyi jest rzutkim i zdolnym kupcem. Z tego też względu oddając komuś licencyę za wynagrodzeniem od sztuki, właściciele patentu naogół zastrzegają sobie, by jej nie wolno bez ich zgody odstąpić komu innemu. Z dru-

giej strony liczyć się musi właściciel z tem, że nabywca licencyi może popaść w konkurs, w chorobę umysłową, że może umrzeć. Dlatego zwykle licencye przechodzą na zawiadowcę masy konkursowej, na opiekuna, na spadkobierców. Zazwyczaj też nie będzie właściciel protestować, gdy n. p. udzielił licencyi jednej jakiejś wielkiej fabryce, a fabryka ta przechodzi w inne ręce, przeciwko dalszemu użytkowaniu jego wynalazku; praca takich fabryk i urządzenie traciłyby na wartości, gdyby bez sprzedaży miały odstępować licencye, których mają zwykle po kilka.

Układ o licencyą uważano dawniej za czysto obligacyjny, obecnie jednak uważają go słusznie za umowę niejako rzeczową. Skutkiem tego nabywca licencyi, podobnie jak dzierżawca domu i t. p. ma nietylko prawo ochrony patentu przeciwko osobom trzecim. Przywilej jest na pewien czas i na pewien obręb w jego posiadaniu, więc w przeciągu tego czasu i w danym obrębie może samodzielnie z nim postępować, a więc i skarżyć gwałcicieli patentu, nie potrzebując oglądać się na właściciela.

## Rok Chopina w zaborze pruskim.

**Odezwa w sprawie tablicy pamiątkowej ku czci Fryderyka Chopina.**

Jako jedno ogniwo w łańcuchu objawów hołdu, składanego nieśmiertelnym cieniom Fryderyka Chopina przez społeczeństwo naszej dzielnicy, projektuje Komitet Przygotowawczy wmurowanie w ścianę gmachu muzeum Towarzystwa Przyjaciół nauk tablicy pamiątkowej z czerwonego granitu z płaskorzeźbą z bronzu, przedstawiającą głowę Chopina.

Pamiątka ta, aczkolwiek skromna, pociągnie za sobą stosowne koszty. To też Komitet Przygotowawczy, zwraca się do społeczeństwa z gorącą prośbą, by nie poskąpiło datków na rzecz tablicy pamiątkowej.

Społeczeństwo nasze w ostatnim czasie więcej niż kiedykolwiek ofiarnością swą na cele kulturalne zadokumentowało swój polski idealizm. Ten polski idealizm dopisze — co daj Boże — i w tym przypadku!

Wystawiliśmy Słowackiemu stosunkowo bogaty pomnik w teatrze, uczcijmy pamięć Chopina choćby tylko skromną tablicą pamiątkową.

Składki prosimy przesyłać do redakcyi pism polskich, lub na ręce kasyerki Komitetu Przygotowawczego — Haliny Drygasówny w Poznaniu przy ul. Rycerskiej (Ritterstr.) 33. Wszystkie składki będą publicznie pokwitowane.

**Komitet Przygotowawczy:**

**Bolesław Dembiński**, prezes. **Stanisław Karwowski**, zast. prezesa.
**Ludwik Broekere**, sekretarz. **Tadeusz Schultz**, zast. sekretarza.

**Komitet Przygotowawczy** zawiadamia wobec odnośnych zapytań koła interesowane, że wydaje broszurę popularną o Chopinie, stara się o kantatę na chór męski, zestawia obrazy świetlne z wykładem o życiu i dziejach Chopina, wybiera odpowiednie do deklamacyi wiersze na temat motywów Chopinowskich itp. Szczegóły będą niezadługo opublikowane, tak samo projekt programu uroczystości, jaką w naszych warunkach w towarzystwach można urządzić.

Po informacye należy się zwracać do sekretarza Komitetu pod adresem: **Ludwik Broekere**, Poznań — Posen, Podgórna — Bergstr. 12 a. Na odpowiedź należy dołączyć znaczek pocztowy.

## Wiadomości.

— **Z Tow. Przyj. sztuk pięknych.** Dnia 30 bm. w południe nastąpi wylosowanie obrazów między członków Towarzystwa. Odnośne obrazy umieszczone są w parterowym pokoju wystawy Towarzystwa przy ul. Bismarka 8.

Przypomina się równocześnie, że ciesząca się tak wielkim zainteresowaniem zbiorowa wystawa dzieł Fałata niedługi już tylko czas będzie owtarta. Kto jej przeto jeszcze nie zwiedził, niech we własnym interesie nie ominie sposobności do zapoznania się z jedną z najlepszych wystaw, jakie dotąd mieliśmy w Poznaniu.

Ostatecznie zawiadamia się, że w dniu 30 bm. odbędzie się na białej sali Bazarowej bal na rzecz żelaznego funduszu Towarzystwa, który ze względu na szlachetny cel niewątpliwie stosownem cieszyć się będzie powodzeniem.

— **Prośba. Rodak nasz, Wielkopolanin**, który był zatrudniony jako dozórca w pewnem przedsiębiorstwie niemieckiem na Górnym Śląsku, **utracił miejsce dla tego, że abonował i czytał gazety polskie.** Człowiek ten, liczący 38 lat, jest żonatym i ojcem dziecka, a nie posiada żadnych środków, aby siebie i rodzinę (żona chora) utrzymać, więc za naszem pośrednictwem prosi Szan. Rodaków, aby przyczynili się do wyszukania dlań **posady dozórcy, portyera itp. w przedsiębiorstwie polskiem.** Petent posiada **dobre świadectwa**, a położenie jego i rodziny jest **tak krytyczne, że spieszna pomoc pożądana.** Bliższych informacyj itp. udzielimy chętnie. Prosimy Szan. Czytelników o gorliwe zajęcie się tą sprawą, a gazety nasze o powtórzenie powyższej notatki.

— **Ze sprzedaży** kart gratulacyjnych i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęły w dalszym ciągu do kasy skarbniczki pani drowej Kusztelanowej w Poznaniu 163 mrk 83 fen.

— **„Hymn Grunwaldzki“** do słów M. Konopnickiej skomponował Feliks Nowowiejski. Kompozycyę nabyła księgarnia Krzyżanowskiego w Krakowie. Hymn ten napisany w przystępnej formie do wykonania, wyjdzie na cztery głosy z towarzyszeniem fort. na chóry: męski, żeński i mieszany a capella, lub z towarzyszeniem orkiestry. Specyalne wydanie dla szkół i towarzystw na 1 lub 2 głosy. Zamówienia przyjmuje już teraz księgarnia wyżej wspomniana w Krakowie.

— **Kościerzyna, Prusy Zach.** — Tutejsze Towarzystwo Młodzieży Kupieckiej urządza w niedzielę, dnia 30-go b. m. przedstawienie amatorskie na sali p. Ehrlichmanna . Odegraną będzie komedyo-opera w 3-ech aktach p. t. „Skalmierzanki“. Początek pierwszego przedstawienia po zniżonych cenach o godz. 3 i pół po południu, początek drugiego przedstawienia o godz. 7 i pół wieczorem. Po drugiem przedstawieniu odbędzie się zabawa z tańcami

O liczny udział uprasza **Zarząd.**

— **Dwieście marek (200)** jako pierwszą ratę ze sprzedaży wydawnictwa „Album Jubileuszowe Grunwald“ otrzymałem od „Polsko-katolickiej księgarni nakładowej **Zdzisława Rzepeckiego i Ski** w Poznaniu, z czego dziękując kwituję.

Poznań, dnia 17-go stycznia 1910 r.

**Dr. B. Kapuściński.**
skarbnik Tow. Czyt. Lud. w Poznaniu.

— **New York.** Niniejszem dziękujemy Szanownej Redakcyi za łaskawe i bezinteresowne przysyłanie nam Swego szacownego pisma. Prosimy i nadal mieć dla nas te same względy na korzyść moralnie biednych naszych emigrantów, dla których często w długich, a bezczynnych dniach podczas śledztwa na Ellis Island, jedyną pociechą jest polska książka lub gazeta.

Szanowne Redakcye dzienników i czasopism w Stanach Zjednoczonych i w Ojczyźnie, prosimy serdecznie o przysyłanie nam swych wydawnictw. Przyjmiemy zarówno z wdzięcznością dziełka treści ludowej w celu utworzenia domowej biblioteki, której potrzebę odczuwamy wielce.

Dom św. Józefa w New York, będąc jedyną polską prawnie ustanowioną instytucyą w celu opieki naszych emigrantów, ma stać się również głównem środowiskiem zbiorów polskiej literatury ludowej na wychodźtwie. W tym celu prosimy o poparcie w przesyłaniu nam dzienników, czasopism i książek treści ludowej. Z naszej strony dołożymy wszelkich starań, by Dom św. Józefa i pod względem oświaty na tle polskiej literatury ludowej, stanął na właściwej mu stopie.

Złączmy nasze siły, a w oczach świata
Spotężnieją nasze zabiegi.

**Ks. Stanisław Cynalewski.**

— **Do Krakowa** przybywającym lub w ogóle do Galicyi się wybierającym donosimy, iż Biuro informacyjne Towarzystwa Wielkopolan pod Wezwaniem Św. Stanisława Biskupa znajduje się przy ulicy Wolskiej l. 25, of. I. p. Biuro to załatwia wszelkie mu powierzone sprawy, dotyczące Galicyi bezpłatnie. Do listownych zapytywań należy załączyć znaczek za 10 fen. na odpowiedź.

**Zarząd.**

## Nekrologia.

† **Ś. p. ksiądz pleban Hipolit Ziętkiewicz**, proboszcz w Prochach, umarł 21-go b. m. Urodzony 1827 roku, święcenia kapłańskie otrzymał 8-go marca 1856 roku a duszpasterzem w Prochach był od roku 1871. — **Ś. p. ks. Augustyn Nelke**, proboszcz w Komórsku w Prusach Zach., dnia 20-go b. m. w 77-mym roku życia, a 49-tym kapłaństwa. — **Ś. p. Franciszek Bieńkowski**, dnia 17-go b. m. w Berlinie, przeżywszy lat 56. — **Ś. p. Nepomucena z Gólczów Kegel**, dnia 18-go b. m. w Bydgoszczy, przeżywszy lat 68. — **Ś. p. z Palickich Marcyanna Bogusławska**, dnia 20-go b. m. w Kościanie. Pogrzeb odbył się dnia 23-go b. m. w Pniewach. — **Ś. p. Stanisław Trzciński**, dnia 18-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 44. — **Ś. p. Józef Wierzchaczewski**, były dzierżawca dóbr Leziona, dnia 18-go b. m. w Ostrowie, skończywszy prawie lat 79. — **Ś. p. Jan Krajewicz**, dnia 21-go b. m. w Bodzechowie (Król. Polskie), w 64-tym roku życia. — **Ś. p. Franciszka Nowak z domu Gadzińska**, dnia 23-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 61. — R. i. p.

## Od Redakcyi.

— **Panu B. G. w Br. (Prusy Zach).** — „Gazeta dla kobiet“ wychodzi co dwa tygodnie w Poznaniu w drukarni św. Wojciecha. Z numeru okazowego , który Szan. Panu ekspedycya gazety na życzenie nadeśle, poinformuje się Szan. Pan o warunkach przedpłaty i t. d.

— **Panu H. P. w T.** — Nadesłany wierszyk p. t. „Młodość,“ jest tak lichy, że go zamieścić nie możemy.

— **Pani S. K. w W.** — 1) Tak. 2) Nie.

— **Panu P. R. w S.** — Wiadoma sztuczka teatralna nut nie posiada.

— **Panu F. G. w Bytomiu.** — Korespondencya nie nadaje się do zamieszczenia w „Pracy.“



**Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Puławach.**

# Z ojczystych stron.

## PUŁAWY.

(Ciąg dalszy).

III.

**Dwór puławski i jego losy.**

Kto weźmie do rąk jakiekolwiek wspomnienia lub pamiętniki z początku XIX wieku, ten z pewnością znajdzie tam bodaj króciutką wzmiankę o Puławach. Wszędzie czytamy same pochwały, same zachwyty. Jeden z częstych gości i dobrych znajomych puławskich, poeta Kajetan Koźmian, taki pisze wiersz o Puławach:

*„O wy, wieczne pomniki narodowej sławy,*
*Świetne z siebie, świetniejsze z mieszkańców — Puławy!*
*Stolico cnót ojczystych, wdzięków i oświaty,*
*Ileż drogich wznawiacie wspomnień dla Sarmaty!*
*Wam ojczyzna, gdy na nią świat się spiknął cały,*
*Konając przekazała wszystkie skarby chwały.*
*Ile w niej bohaterów, wieszczów, mędrców słynie,*
*Tu ich cnót serca składem, a szczątków świątynie,*
*Tu żyją w każdem drzewie, tu tchną w każdym głazie...“*

Należy dodać, że wiersze te nie były nigdy drukowane, bo sam Koźmian wymazał je ze swego „Ziemiaństwa“, snać bojąc się, żeby kto nie poczytał ich za przesadną pochwałę. Wobec tego możemy wierzyć w szczerość poety.

A ten sam autor w pamiętnikach swoich pisze, że Puławy „powstały z krajem, kwitły wraz z krajem i wraz z krajem zginęły“, że był to przybytek „wspaniałości, miłości ojczyzny, cnót, oświecenia, nauk, ogłady, zalet, wdzięków narodowych“. Mówi, że z Puław rozszedł się duch, ogłada, obyczajność po całym kraju. A wspominając o atmosferze, jaka tam panowała, dodaje, że tam się „cudzoziemszczyzna spolszczała“, że wszystko tam było polskie, nie to zacofane, staroświeckie, ale rozsądne, postępowe, nieraz pod francuską suknią, ale dyszące ojczyzną.

A jacy tam ludzie mieszkali? Autor i o tem szczerze pisze, kobiety trochę zalotne, romansowe, egzaltowane, młodzież nieco płocha i lekka, ale bo też takie czasy były. Za to „ileż cnót publicznych, ile domowych, ile ludzkości, ile dobroczynności, ile ofiar dla ubóstwa, dla sierót, dla nieszczęśliwych, ile nakoniec przy skonaniu Polski nieporównanych wzorów cnót starożytnych!“

W istocie dwór puławski stał się środowiskiem życia cywilizacyjnego i umysłowego w Polsce porozbiorowej. Stąd, jak z ogniska, rozchodzą się promienie po całym kraju. „To wychowanek Puław“, — to „gość puławski“ mawiano w Polsce, a znaczyło to tyle, co: człowiek, który pozostawał w stosunkach z najpierwszymi ludźmi w kraju.

Tworzenie takich ognisk, skupiających w sobie wszystkie promienie, pojawiło się pierwszy raz we Francyi za Ludwika XIV. Król ten stworzył taki dwór w Wersalu pod Paryżem. W Polsce próbował go naśladować król Stanisław August: skupiał na swoim dworze artystów, literatów, ludzi uczonych, urządzał słynne czwartkowe obiady. Dwór Czartoryskich był drugiem takiem ogniskiem w Polsce, o tyle ważniejszem, że wpływ jego był trwalszy, dłuższy i bardziej błogosławiony w skutki.

Ależ jakaż siła ściągała ludzi na dwór Czartoryskich?

Wiadomo, że w Polsce każdy niemal dwór magnacki miał, prócz licznych dworzan, liczniejszą jeszcze bandę dworaków, którzy, żyjąc z łaski pańskiej, sprzedawali potem magnatowi swoje „szable i kreski“ — szable do wzniecania burd i bijatyk, kreski na sejmiki, kiedy wybierano posłów.

U Czartoryskich tego nie było: Polska straciła niepodległość, szabel i kresek nie było już potrzeba, więc ludzi ściągał nie interes, ale nadzwyczajna gościnność gospodarzy i to, co na tym dworze można było zyskać: ogłada, wykształcenie, rozrywki, wychowanie. Znikają tu dworacy, a występują goście-przyjaciele. Panuje tu staropolska gościnność, ale bez staropolskiej przesady, bez etykiety, bez wyniosłości ze strony gospodarzy, bez uniżoności ze strony dworzan.

Książę Generał był wrogiem uniżoności. Wszak w „Katechiźmie“ dla kadetów sam pisał o tem, jak „oddawać cześć“. Oto „bez upokorzenia siebie samego; więc te powierzchowne znaki padania do nóg, ściskania za nogi, całowania rąk, podpisywania się w listach podnóżkiem, wielkie zbytnio ukłony nie powinny być nigdy... używane, bo podłość w sobie mają, której się strzedz należy.“



**Lirnik wędrowny z okolicy Puław.**

Powiały już nad Polską nowe prądy z zachodu, przyniosły łatwość w obcowaniu i prostotę form towarzyskich. Księżna Izabella była szlachetna, książę był wolnomyślny, więc z łatwością przychodzi im zapomnieć o granicach, które oddzielają stan od stanu. Zniżają się do niższych od siebie,

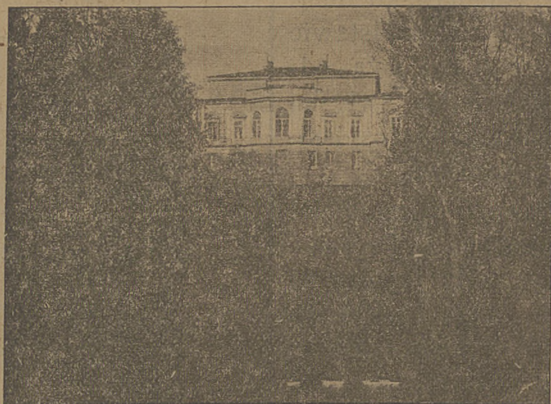
zbliżają się nawet do ludu wiejskiego.

Czartoryscy to nowy typ arystokracyi prawdziwej, obywatelskiej, który się zaczął wytwarzać po rozbiorze kraju. Kiedy inni magnaci, zobaczywszy, że nie mogą żyć po dawnemu, jak „króliki“, że nie odegrają już dawnej roli, bo państwo przestało istnieć — wynieśli się z kraju, drudzy, obywatelskie serca w piersiach mający, pozostali w kraju, otworzyli drzwi swych pałaców i ściągali do siebie szlachtę. Bratając się z nią, dawali dowód, że czują swój ścisły związek ze społeczeństwem.

To też na dwór Czartoryskich ściągały się liczne rzesze młodych i starych, mężczyzn i kobiet, szlachty „kontuszowej“ i paniczów we frakach, matron w staroświeckich „robronach“[1]) i modnych dam w perukach. Młodzież nabierała tu ogłady towarzyskiej, uczyła się poradności, nabierała ducha rycerskiego, a chociaż na pozór życie puławskie było lekkie i pełne rozrywek, to jednak zabawy te nie były płoche i bezmyślne, owszem tak obmyślane, że pod lekką formą światowych igraszek kryła się zawsze myśl głębsza, sprawa poważna, narodowa, patryotyczna lub polityczna. Słowem, na każdym kroku widać było chęć osiągnięcia jakiegoś celu, a każda zabawa, każda uroczystość była środkiem do obudzenia lub okazania jakiegoś pożądanego uczucia.

W czasie sejmu czteroletniego Puławy gorliwie pracują nad budzeniem ducha patryotycznego i utrzymaniem w społeczeństwie wytrwałości w pracy nad odrodzeniem narodu. Korzystając z przerw, jakie następowały z powodu odrodzenia sejmu, czyli jego limity, spraszano do Puław rozmaitych ludzi: posłów, znakomitych mężów, członków najrozmaitszych stronnictw, nawet niechętnych Czartoryskim (jak Potoccy) i urządzano zabawy w ten sposób obmyślane, aby oddziaływały na uczucie i podniecały do wspólnego, zgodnego działania i do pracy nad dobrem kraju.

A niepospolitą mistrzynią w tym względzie była zawsze księżna. Na jedno takie zebranie napisał poeta Kniaźnin z polecenia księżny sztukę teatralną „Matka Spartanka“. Każde niemal słowo tego dzieła mówiło o miłości ojczyzny i o świętych dla niej obowiązkach, każda zwrotka zagrzewała do męstwa i ofiary, więc, choć dzieło to miało wiele niedostatków, musiało na słuchaczach wywrzeć wielkie wrażenie. Wrażenie wzrosło jeszcze, kiedy sama księżna odegrała rolę Spartanki Teony, a jej dwaj synowie: Adam i Konstanty grali rolę Spartan: Likanora i Klitona.



**Instytut agronomiczny gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa od strony Wisły w Puławach.**

Puławy, jak widzimy, pamiętały wciąż o sprawie narodowej i nigdy nie opuściły rąk, choć coraz gorsze nastawały czasy.

Lata następne po drugim rozbiorze Polski przynosiły grom po gromie, spadający nie tylko na Polskę, ale i na rodzinę Czartoryskich.

Wybuchła wojna w r. 1792. Smutny był jej koniec dla Polski; broń musiano złożyć, bo król przystąpił do Targowicy. Prawie równocześnie dowiedzieli się Czartoryscy, że ich zięć, ks. Wirtemberski, przyjęty przez Polskę, jak syn rodzony, obdarzony wysoką godnością wojskową, okazał się w tej wojnie zdrajcą swej nowej ojczyzny. Koniec tej wojny odbył się tuż pod Puławami, bo tu wojska ks. Józefa Poniatowskiego po rozejmie z Rosyą, przeszły Wisłę. Wiele ucierpiały wtedy Puławy i okoliczne wioski od wojsk rosyjskich; sama księżna wspomina, że szkody było na 400.000 złp.

Wnet potem wybucha powstanie Kościuszkowskie. Że Kościuszko pozostawał w przyjaznych stosunkach z Czartoryskim, to także wiadomo. Jeszcze w szkole kadeckiej należał on do ulubieńców księcia. Lecz ważniejsza rzecz, niż zażyłość i znajomość, łączyła tych ludzi. Kościuszko, urządzając powstanie, oparł się na sile tego ludu, do którego Czartoryscy od dawna się zbliżyli, słusznie rozumiejąc, że przyszłość należy do ludu i od niego zależy. Te same więc uczucia, które napełniały Puławy, ożywiały także przedsięwzięcie Kościuszki.

W czasie wybuchu powstania książę był we Wiedniu, a księżna z synem Adamem we Francyi. Na wieść o powstaniu matka ze synem wracają, ale w Belgii ich zatrzymano. Po upadku powstania, wskutek podejrzenia, że księstwo pomagali Kościuszce, Puławy spustoszono niemal doszczętnie. Potłuczono i porąbano na kawałki starożytną rzeźbę, kupioną za 5.000 dukatów; pokrajano obrazy Rembrandta i Rubensa i razem z potłuczonemi zwierciadłami, meblami i marmurami zatopiono w sadzawce. W parę tygodni później Kozacy znowu napadli na pałac. Do sadzawki wylali z beczek wino i inne napoje i w niej używali kąpieli.

W pół roku po rabunku, kiedy już przeprowadzono podział kraju i rozgraniczenie między Rosyą a Austryą, wraca księżna do Puław. Oto, co pisze w liście z owego czasu: „Łóżka, ani materaca, ani kanapy w całych Puławach nie było. Spaliśmy na sianie... Nazajutrz rano ze wschodem słońca poszłam do ogrodu. Moje drzewa rozłożyste, krzaki kwitnące, kwiaty wonne ochłodziły gorzki widok domu zrabowanego i wpół rozrzuconego.“



**Pałacyk w parku puławskim.**

[1]) Staroświeckie suknie.

Księżna energicznie bierze się do naprawy pałacu i do porządków. Odtąd dla niej i dla Puław zaczyna się nowa epoka: u księżny mija okres młodości, żądnej zabaw i rozrywek, a zaczyna się okres patryotycznej pracy społecznej; w Puławach rozpoczyna się epoka świetności.

Kraj między Wisłą, Pilicą a Bugiem dostał się w trzecim podziale Austryi,



Wieśniak z okolicy Puław.

która go zamieniła w osobny kraj koronny pod nazwą „Galicyi nowej“ czyli zachodniej. I Puławy przeszły obecnie pod panowanie austryackie. Książę mieszka we Wiedniu lub w Sieniawie, księżna krząta się ustawiczne koło Puław, zaczyna gromadzić pamiątki, aż w r. 1800 otwiera dla nich „świątynię Sybilli.“

Obaj synowie księstwa przebywają w Petersburgu Tu poznał się bliżej ks. Adam z carewiczem Aleksandrem i zaprzyjaźnił się z nim. Kiedy po krótkotrwałem panowaniu cara Pawła I. wstąpił na tron Aleksander, układając gabinet, robi ks. Adama pomocnikiem kanclerza i ministrem spraw zagranicznych. Książę Adam przyjął tę godność niechętnie i dopiero po wyrobieniu sobie urzędu kuratora szkół na Litwie i Rusi.

A tymczasem na wielkim świecie działy się wypadki ważne, nie tylko dla Polski, ale dla całej Europy. Któż nie słyszał o wojnach napoleońskich? Polacy gorliwie pomagają Napoleonowi we wszystkich wyprawach, nieustannie oczekując spełnienia jego obietnic. Pomimo krwi, którą legiony polskie toczyły w interesie Napoleona na polach bitwy we Włoszech, Egipcie, w Niemczech, Napoleon pominął zupełnie Polskę w traktatach w Campo Formio [2]) i Luneville [3]). Resztki legionów wcielił do wojska francuskiego i pod grozą armat kazał im wsiąść na okręty i udać się na wyspę San Domingo.

A oto zapowiadała się nowa wojna, którą wydała Napoleonowi koalicya europejska. Car Aleksander ruszył z dwoma armiami na pomoc Austryi i po drodze wstąpił do Puław.

Czartoryscy nie dowierzali Napoleonowi. Polityka ks. Adama jako ministra polegała na tem, by na podstawie porozumienia się Austryi z Rosyą, odbudować państwo polskie, w związku z Rosyą będące, z cesarzami rosyjskimi jako królami tego państwa.

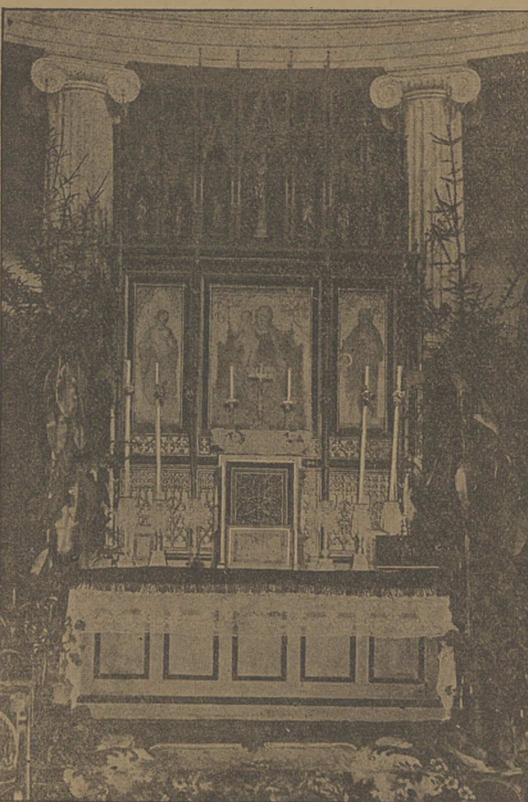
I właśnie w Puławach zaczęto porozumiewać się z Austryą i Prusami, które dotąd nie przystąpiły jeszcze do związku. Ważna to była chwila dla Polski. Nadzieja odzyskania całości i odrębności zaczęła świtać; car Aleksander był planowi Czartoryskiego przychylny, jego armia, stojąca u granic pruskich, gotowa była na każde skinienie wkroczyć do Prus, aby razem z powstaniem Polaków, będących pod zaborem pruskim, zmusić Prusaków do przystąpienia do koalicyi.

Przez trzy tygodnie prowadzono rokowania, narady w Puławach odbywały się niemal ciągle, obok nich ustawiczne zabawy.

Nagle wszystkie nadzieje prysnęły: po trzech tygodniach pobytu cesarz nagle wyjeżdża do Berlina i tam zawiera z królem pruskim sojusz, zaprzysiężony na grobie Fryderyka Wielkiego.

Zwycięstwa Napoleona pod Ulmem i Austerlitzem rozbiły wszelkie nadzieje i pomysły ks. Czartoryskiego.

Na pamiątkę pobytu swego w Puławach przysłał cesarz Aleksander później z Petersburga płytę szklaną na sklepienie do „Świątyni Sybbilli.“



Ołtarz w kaplicy instytutowej w Puławach.

Wreszcie po bitwie pod Frydlandem, w pokoju w Tylży w 1807 roku utworzono zamiast Polski małe Księstwo Warszawskie.

Czartoryscy poznali się na zawodnych obietnicach Napoleona, tylko ks.



Wieśniaczki z okolicy Puław.

Konstanty wierzy w gwiazdę napoleońską i w jego dobre zamiary wobec Polski i zaciąga się do wojska.

A kiedy wojska ks. Warszawskiego biły się z rozkazu Napoleona w Hiszpanii i cudów waleczności dokazywały pod Saragossą i w wąwozie Samo-Sierra, Austrya w 1809 r. wypowiedziała wojnę Napoleonowi. Wojna objęła także Ks. Warszawskie.

Arcyksiążę Ferdynand wysyła do ks. Generała, jako do feldmarszałka austryackiego wezwanie, by formował w Galicyi legiony z młodzieży szlacheckiej. Książę jednak odmawia, wymawiając się wiekiem i chorobą i wprost wypowiada swoje zdanie, że nie ma nadziei, aby Polacy w Galicyi chcieli pomagać Austryakom. Dla pozoru zaś dał się aresztować ks. Józefowi Poniatowskiemu, aby się nie narazić Austryi. Potem, po wielu latach wraca do Puław. Opowiadają, jak się starzec ucieszył, zobaczywszy po drodze pułk polskiej konnicy: wyskoczył z pojazdu, płakał, ściskał za ręce swego sekretarza.

Puławy są świadkami niejednej potyczki, nieraz gwiżdżą tu kule, dolatujące aż do pałacu; nieraz jakiś oddział polski chwilowo tu wypoczywa. Nie potrzeba chyba dodawać, jak przyjmowano bohaterskie oddziały i jak goszczono dowódców. I tak przybywa raz do Puław jenerał Sokolnicki, okryty sławą po bitwie pod Sandomierzem. Wiedzie go tu cześć dla starca ks. Generała, dawnego komendanta szkoły kadeckiej.

Wieczorem odbyła się wielka uro-

---

[2]) Czytaj: Kampo Formio.

[3]) Lünwil.

czystość. Pułk piechoty z płonącem łuczywem u bagnetów defiluje przy marszu Dąbrowskiego i okrzykach: „Niech żyje nasz naczelnik i nauczyciel, książę Adam! niech żyje księżna!“ Książę, jako „niewolnik“ nie opuszcza Puław aż do tej chwili, kiedy wraz z „Galicyą nową“ i Puławy zostały wcielone do Księstwa Warszawskiego.

Od tego czasu Puławy zbliżają się do Warszawy i życie towarzyskie zakwita w nich na nowo.

A tymczasem nadszedł rok 1812, „rok wojny, rok urodzaju“. Po wypowiedzeniu wojny Rosyi przez Napoleona, rada ministrów i Fryderyk August, książę Warszawski, powołują sędziwego ks. Generała na marszałka sejmowego. Sejm uchwalił generalną konfederacyę wszystkich ziem polskich.

I znowu poszedł kwiat młodzieży... na śmierć.

Wyprawa Napoleona skończyła się klęską. Jedynym zyskiem dla Polski było utworzenie Królestwa Kongresowego w r. 1815.

Przed wyjazdem na kongres wiedeński cesarz Aleksander wstępuje znowu do Puław. I znowu w gronie rodziny Czartoryskich omawia się sprawy publiczne i znowu budzą się nadzieje. Jest to druga ważna chwila, chwila oczekiwania, co przyniesie kongres wiedeński.

Przyniósł mniej, niż się spodziewano.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



*Ks. Teofil Gapczyński.*

# O Juliuszu Słowackim.

(Ciąg dalszy).

Istniało podówczas w Paryżu „Towarzystwo literackie“, do którego i Słowacki należał, a w którym prym wodzili Litwini i nieprzyjaciele-współzawodnicy Słowackiego. Odkąd Mickiewicz przybył do Paryża, zaczęli go obsypywać zaszczytami i owacyami. Słowackiego ignorowano, okazywano mu wręcz niechęć. Zaczęła się cicha, ale zaciekła i zawzięta rywalizacya dwóch poetów. Unikali się. Gdy 4 sierpnia Towarzystwo literatów urządziło obiad na cześć Mickiewicza, Słowacki się nie stawił.

Tymczasem d. 7 sierpnia wieczorem urządzono wielki obiad na cześć jenerała Dwernickiego, który świeżo przyjechał do Paryża. Słowackiemu nie wypadało nie pójść. Tu mieli się po raz pierwszy zbliżyć do siebie Słowacki i Mickiewicz. Mickiewicz na tym obiedzie improwizował na cześć Dwernickiego. Mickiewiczowi improwizacya nie bardzo się udała. „Pamiętnik emigracyjny“, tak przychylny Mickiewiczowi, pisał wówczas, że autor Dziadów improwizował *„prawie* nie zatrzymując się“. To „prawie“ znaczyło jednak, że Mickiewicz w czasie tej improwizacyi zatrzymywał się kilkakrotnie, że mu natchnienie nie dopisywało zupełnie, że mówił z pewnym trudem, że wiersz nie buchał mu z ust jak lawa z krateru wulkanu, że były chwile milczenia, namysłu, podczas których Słowacki, kto wie, czy się nie uśmiechał złośliwie.

Cokolwiekbądź, zbliżenie nastąpiło: Mickiewicz po obiedzie przystąpił do Słowackego. O czem mówili? o poezyi. Jeden drugiemu prawił komplementa. Była to jednak rozmowa, nie oparta na szczerości i serdeczności. To też zbliżenie to nie było długotrwałe. W kilka bowiem dni później doniesiono Słowackiemu, jakie zdanie wypowiedział Mickiewicz o jego poezyach. Oto rzekł, że podług niego poezya Słowackiego, śliczna pod względem formy zewnętrznej, jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele — Boga niema. To zdanie niemało rozgoryczyło Słowackiego. Choć sam w „Godzinie myśli“ przyznaje o sobie, że stracił wiarę w Boga przez złośliwość ludzką.

*„Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby*
*I składa się tęcza na ksiąg białej karcie,*
*Lecz nic w niej wiary w szczęście ani Boga...*
*On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,*
*Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny“.*

Choć sam to przyznawał, przypuszczał jednak, że Mickiewicz w tej myśli rzucił swą uwagę, by już nikt nie zajrzał do pustego kościoła poezyj jego. Stąd żal większy do Mickiewicza. Spotykali się coprawda odtąd przy wspólnej pracy w „Towarzystwie literackiem“, stosunek jednak ich był sztywny, zimny, ceremonialny.

Zanosiło się jednak, na gorsze stosunki, bo w tym czasie Mickiewicz pracował nad „Trzecią Częścią Dziadów“, w której przedstawia prześladowanie młodzieży polskiej przez Moskali w r. 1824, a opisuje śmierć zabitego od pioruna ojczyma poety Dr. Becu, przedstawiając go jako zdrajcę, jako płatnego sługę rządu rosyjskiego.

Nareszcie wyszła trzecia część *Dziadów,* w której Mickiewicz tak straszny cień rzucił na Słowackiego, matkę i całą rodzinę jego. Tego samego dnia przysłał ktoś złośliwy jeden egzemplarz Słowackiemu. Można sobie wyobrazić, co się działo w dumnej i wrażliwej duszy Słowackiego po przeczytaniu tego poematu! Gniew, wściekłość, rozpacz, a przedewszystkiem nienawiść do Mickiewicza, nienawiść, która się w nim, aż do tej chwili ukrywała pod postacią osobistej niechęci i literackiej zawiści, opanowały go jak furye: nie umiał powiedzieć poprostu, co go kosztowało „przełamanie pierwszego popędu dumy“. W pierwszej chwili, pod wrażeniem świeżej lektury, postanowił wyzwać Mickiewicza, strzelać się z nim, o ile możności zabić go.

Pod wpływem jednak przyjaciela swego Skibickiego odstąpił na szczęście Słowacki od tego zamiaru. Cokolwiekbądź, były „Dziady“ a raczej Mickiewicz, jedną z przyczyn, że Słowacki postanowił natychmiast opuścić Paryż i emigrantów swary, którzy

*„Plwają na siebie i żrą jedni drugich“,*

że postanowił wyzwolić się z tej atmosfery

*„Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów*
*Zapóźnych żalów, potępionych swarów“.*

Jak chętnie byłby wtenczas wrócił do kraju — ale tu byłoby go czekało więzienie, bo w poematach tak ostro występował przeciwko Moskalom.

Pojechał więc do uroczej Szwajcaryi, do Genewy. Zamieszkał tu w domu niejakiej pani Patteg, kobiety bardzo dobrej i czułej, która wraz z swą córką Eglantyną czyniła wszystko, aby tylko poecie było dobrze. I było mu dobrze w tym domu. Dom ten, położony o kilkadziesiąt kroków od miasta, nad jeziorem, ukrywał się cały w ogrodzie, między lipami, świerkami i sosnami. Ogród ten, zawsze zielony, nawet w zimie, stroił się co rok na wiosnę w tysiące fijołków i pierwiosnków; kiedy w powietrzu tymczasem, przesyconem zapachem lip kwitnących, fruwały białe motyle, świergotały jaskółki, dzwoniły skowronki, kwiliły słowiki w noc księżycową, brzęczały muszki i świerszcze. Spacerować tedy w cieniu lipowej alei, patrzeć na śnieżny Mont-Blanc, widny na horyzoncie, a najczęściej wiankiem białej chmury okryty, i marzyć, pijąc wszystkiemi zmysłami, poezyę wiosny i szwajcarskiego powietrza, to było rozkoszą dla poety. Ten ogród miał na myśli Słowacki, gdy tak cudnie opisuje noc księżycową w poemacie: „W Szwajcaryi“:

*„Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać*

*Kiedy się wszystkie słowiki uciszą*
*I wszystkie liście bez szelestu wiszą*
*I ciszej źródła po murawach dyszą;*
*Jakby ta gwiazda miała coś nakazać*
*I o czem cichem pomówić ze światem,*
*Z każdym słowikiem, z listeczkiem i kwiatem.*
*Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą*
*Wychodzi blady pierścionek Dyany!*
*Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą*
*I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą*
*I wszystkie źródła jęk wydają szklany;*
*O takiej chwili, ach dwa serca płaczą,*
*Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;*
*Jeśli o czemś zapomnieć — zapomną.*
*O takiej chwili z moją panią skromną*
*Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich —*
*Już rozmawiali o rzeczach anielskich“.—*

Przeszło trzyletni pobyt w Szwajcaryi niezwykle korzystnie oddziałał na Juliusza. Wśród tak uroczo — sielskiego, spokojnego nastroju ukończył: *Lambra, Dumę o Wacławie Rzewuskiem* i napisał poemat o swojem dzieciństwie *„Godzinę myśli“.*

W jesieni 1833 r. zabrał się poeta do pracy nad *Kordyanem,* mającym stanąć według wyraźnego zamiaru poety, jako przeciwstawienie obok trzeciej części *Dziadów,* i mającym nadto świetnością swą zrehabilitować matkę, panią Becu, wdowę po doktorze Becu, tak zniesławionym w poemacie Mickiewicza. „Nic mi nie pozostaje, pisał o tem Słowacki do matki, myśląc o *Kordyanie,* jak okryć ciebie, moja matko, promieniami takiej sławy, aby cię *inne pociski ludzi* dojść nie mogły“. W *Kordyanie,* swą własną opisuje w większej części osobę. Wypełnia tu poeta wspomnienia z życia swego, raz już wyzyskane w *„Godzinie myśli“,* a teraz odświeżone fantazyą, upiększone tęsknotą za krajem, coraz silniej odzywającą się w sercu poety.

Tęsknota ta wydziera z ust jego słowa:

„Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którem wyrósł“. Ale Kordyan jest poematem nie tylko osobistym, ale i na wskroś narodowym, o czem już świadczy do modlitwy podobny prolog:

*„Boże! ześlij na lud twój wyniszczony bojem*
*Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnem zdrojem;*
*Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy,*
*Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy,*
*Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania*
*A mnie daj łzy ogromne i męki niespania“.*

Zygmunt Krasiński przeczytawszy Kordyana, pisze: „Juliusz ogromem poezyi obdarzony jest od niebios“.

W Genewie poznał się Słowacki z Maryą Wodzińską, córką domu magnackiego, przypominającą z urody Ludwikę Śniadecką. Kochali się w niej wówczas ludzie jak Chopin, młody hrabia de Montégny, Francuz, książe Ludwik Napoleon i wielu innych. W Maryi, która miała wszystko, co takiego człowieka, jak Słowacki, pociągnąć mogło i musiało, zakochał się i Słowacki. Miała przecież: wykwintne wychowanie, wdzięk dziewiczy, duszę, która go była w stanie zrozumieć, inteligencyę żywą, zamiłowanie do sztuki, a wreszcie ten urok, jaki nadaje pierwszorzędne stanowisko społeczne, urodzenie, majątek, formy i stosunki światowe.

Marya Wodzińska na razie nie czuła wzajemności do Słowackiego; dopiero wspólna podróż po uroczej Szwajcaryi, którą przebyli z rodzicami Maryi — zbliżyła ich do siebie. Słowacki jednak znów miał się kochać nieszczęśliwie... i znów ta miłość daremna najpiękniejsze wydała perły poezyi.

Marya z rodzicami wróciła do kraju — a on miał wiecznie tylko tęsknić za nią:

*„Odkąd zniknęły, jak sen jaki złoty,*
*Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty“.*

Słowacki szukał spokoju duszy i uciszenia i przeniósł się do Veytoux, do miasteczka położonego przecudnie na zielonej równinie, na południowym krańcu jeziora genewskiego. Ale i tudotąd szła za nim tęsknota za Maryą. Rozłączenie takim przejmowało go smutkiem, że chciało mu się po prostu umrzeć. Słowa, które miał z czasem włożyć w usta Anhellemu, najlepiej określały jego własne uczucia, jakich teraz doznawał w Veytoux z powodu panny Wodzińskiej:

„Otom zobaczył anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski, co się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blizko; jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

...Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego anioła i wolałbym był wczoraj umrzeć“...

Miłość i tęsknota za Maryą wyrwały z jego duszy tak piękne perły erotycznej liryki polskiej jak: *Rozłączenie, — Ostatnie wspomnienie,— Chmury* i poemat najpiękniejszy, najidealniej rzewny, jaki kiedykolwiek miłość ludziom natchnęła: *„W Szwajcaryi“.* Krasiński powiada o nim: „Są tam takie szklisztości, takie przezrocza, takie bańki tęczane... takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, że czytając zdarzyło mi się wykrzykiwać po sta razy w duszy: „Niech go dyabli porwą, kto po nim potrafi pisać!“ Trzeba bezczelnym być, by brać się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza“.

A te urocza dyktowała Słowackiemu miłość do Maryi.

Wyobrażał sobie poeta, że tak samo jak on po niej, tak ona tęskni po nim:

*„Rozłączeni, lecz jedno o drugiem pamięta:*
*Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku*
*I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,*
*Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta“.*
*„A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem:*
*Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,*
*Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,*
*Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem“.*

Z Veytoux wrócił Słowacki znów do Genewy, do tego domu, w którym mieszkał z p. Wodzińską, gdzie marzył, gdzie kochał:

*„Wrócił Anhelli do jamy pustej i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było“.*

W takiem usposobieniu wyjechał w połowie lutego 1835 r. do Włoch, do kraju, gdzie cytryna dojrzewa,

*„Gdzie buja laur*
*I cyprys cicho stoi“. . .*

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

*W dzisiejszym stanie cywilizacyi, uprawa nauk jest może niezbędniejszą dla narodu, aniżeli nawet pomyślność materyalna.*

*(z Pasteur'a).*

* * *

*Siła jest tyranem świata; prawo tylko władcą.*

*(z Mirabeau).*

* * *

*W życiu mężczyzny, największą potrzebą są pieniądze.*

# Widmo strejku w Niemczech.

Że organizacye zawodowe w Niemczech ze strejkiem na pewno się liczą, wynika z uchwały Zarządu Centralnego oraz wydziału Rady Nadzorczej „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego“. Naczelne instancye organizacyi polskiej ogłosiły komunikat w „Wzajemnej Pomocy“, organie oddziału hutników, i w „Głosie Górników“, organie górników polskich, że pobierać się będzie nadzwyczajną składkę na przyszły strejk. Uchwała obowięzuje od 1-go lutego rb.

W organie hutników znajdujemy obliczenie możliwości strejku w niektórych zawodach w roku bieżącym.

Na największy zatarg zanosi się pomiędzy górnikami. Wchodzi tutaj w rachubę przeszło 330 tysięcy robotników. Do tego dochodzi jeszcze przeszło 9 tysięcy sztygarów oraz innych urzędników, którzy prawdopodobnie do możliwego strejku się przyłączą, ponieważ obecnie również są zorganizowani. Jako zorganizowani urzędnicy, których organizacya nie cieszy się względami pracodawców, nie mogą przecież pracy łamistrejków wykonywać, jak to się działo w roku 1905.

W zawodzie budowlanym przyjdzie również z wszelkiem prawdopodobieństwem do bezrobocia, jeżeli jeszcze w ostatniej chwili sąd rozjemczy nie da orzeczenia zadowalającego obie strony, jak to się stało w zawodzie malarskim. Atoli chociaż pod uchwałę sądu obie strony się poddadzą, to jeszcze nie jest wykluczonem, że w poszczególnych obwodach i miasteczkach nie wybuchnie strejk; to samo dotyczy i malarzy.

W bardzo złem położeniu znajdują się hutnicy i należą do najbardziej upośledzonych w czasach obecnych robotników. Organ hutników zapytuje się, co się stało z rozporządzeniem ministeryalnem dla hutników, czy przestrzega się przepisanych dla fabryk przerw pracy i stwierdza, że przepisy te, jak wiele innych, istnieją tylko na papierze. W końcu pisze „Wzajemna Pomoc“, że skoro konjunktura się poprawi, wówczas będzie trzeba koniecznie wystąpić z żądaniami. Przecież w żadnym innym zawodzie nie pracują robotnicy po 24 do 36 godzin bez przerwy, jak to się dzieje we fabrykach hutniczych.

Najgorzej pod tym względem wygląda na Górnym Śląsku. Tam będzie „Zjednoczenie Zawodowe Polskie“ musiało najprzód poczynić odpowiednie kroki, aby uciśnionym robotnikom dopomódz.

Dalej wspomina „Wzajemna Pomoc“ o robotnikach po fabrykach tkackich zaznaczając, że i wśród nich się na walkę zanosi z powodu zaprowadzenia biur stręczenia pracy.

Z nastaniem wiosny rozpocznie się ruch zarobkowy pomiędzy robotnikami w cegielniach. Położenie tych robotników nie jest w niczem lepsze niż położenie hutników. Praca u tych robotników trwa przeciętnie po 12 do 14 godzin przy stosunkowo bardzo nizkim zarobku. Niema wątpliwości, iż „Zjednoczenie Zawodowe Polskie“ i w bieżącym roku energicznie się robotnikami w stronach ojczystych zajmie, jak to się stało w roku zeszłym.

Kto uważnie na całe ukształtowanie się ruchu zarobkowego patrzy, ten przyznać musi, że Zarząd Centralny „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego“ o dobro członków i utrzymanie naszej polskiej organizacyi stara się tak samo jak inne organizacye.

Jednakże do przeprowadzenia dłuższej walki potrzebny jest wielki kapitał. Bez środków ani jedna organizacya z mocnym kapitalistą mierzyć się nie może. Organizacya bez kapitału jest w oczach pracodawców zerem.

Zrozumiały to związki niemieckie i już od dłuższego czasu na przyszły strejk nadzwyczajne składki pobierają i to nie czasem 10 fen. tygodniowo jak to uczyniło „Zjednoczenie Z. P.“, lecz po 50 fen. i nawet po marce tygodniowo, które członkowie niemieckich organizacyj obecnie płacić muszą. Panuje przekonanie, że także członkowie polskiej organizacyi nie będą się wzbraniali płacić wyższej składki, tylko każdy chętnie te 10 fen. zapłaci, idąc za przykładem innych robotników, aby kasę swoją dobrze wyposażyć do walki, która jest nieuniknioną.



Dr. Stanisław Łabendziński.

# Wykłady popularne.

## III. A.

### Którzy królowie polscy byli najdzielniejsi?

Każdy Polak, znający dzieje swojego narodu, wie, że Polska swego imienia wstydzić się nie potrzebuje. Mieliśmy w toku 1000 letnich dziejów naszego bytu niezależnego tak wzniosłe chwile świadczące o bezprzykładnem poświęcaniu się jednostek, począwszy od króla do ostatniego kmiotka, na rzecz ogółu, że żaden inny naród pod tym względem zawstydzić nas nie może. Poznanie naszych dziejów ojczystych jest też dla nas najlepszą bronią do odparcia wszelkich zamachów wrogich, skądkolwiek one pochodzą, zmierzających do tego, aby dzieje naszego narodu oczerniać i o ile możności z błotem pomieszać. Polak, który na zaczepki czy to wobec tak częstej niemieckiej lub rosyjskiej arogancyi, widzącej zdźbło w oku naszem, lecz w swojem belki nie dostrzegającej, milczy, poświadcza tylko, że historyi własnego narodu nie zna, a polityką bezprawia i grabieży imponować sobie pozwala. Prawdą jest, że i u nas ciemnych stron nigdy nie brakło, i konieczne jest także z klęskami naszemi się zaznajomić, choćby dla tego, aby ich na przyszłość unikać, lecz światłe chwile naszych dziejów przewyższają do tego stopnia ponure, że nietylko dla oświecenia szerokich warstw naszego narodu, lecz i dla dodania otuchy do wiary w przyszłość naszego bytu z dzielnymi przywódcami niepodległej Polski zapoznać się warto. Zaczynając od pocztu królów, którzy w początkach naszych dziejów jako samowładcy t. zn. panujący z nieograniczoną, żadną konstytucyą nie ścieśnioną władzą, a więc za czyny swe zupełnie odpowiedzialni, ster państwa dzierżyli, trzeba nam wspomnieć już o pierwszych dwóch Piastach, Mieczysławie I. i synu jego Bolesławie I. Chrobrym. Mieczysław głównem swem dziełem, przyjęciem chrześciaństwa (r. 965) i ochrzceniem Polski, nie za pomocą Niemców, lecz Czechów, zasłużył sobie na wdzięczność i najwyższe uznanie późniejszych pokoleń, które w niezależnym, a oświeconym kraju odebrały podwalinę ku dalszemu rozwojowi ojczyzny. Już syn jego bowiem, jeden z najdzielniejszych naszych królów wogóle, Bolesław I. Chrobry czyli dzielny, budował na tym fundamencie dalej i bohaterskiemi dziełami swemi dowiódł, do jakiej potęgi kraj nasz za inicyatywą dzielnych swoich przodowników dochodził. Odbicie Słowiańszczyzny zachodniej, zdobycie Pomorza, wydarcie Czechów i Słowaków z jarzma Słowianom wrogiego, oparcie granic Polski aż o Dniepr, a nadewszystko zespolenie młodego państwa polskiego w jedną, silną, całość, oto owoce panowania słynnego „Chrobrego.“

Z dalszych Piastów wsławili się głównie Bolesław III. Krzywousty, Władysław III. Łokietek i Kazimierz III. Wielki. Pierwszy z nich w myśl swego walecznego pradziada „Chrobrego“ wsławił imię Polski zwycięskiemi wojnami z Niemcami, wydzierając im Pomorze i zyskając przez to tak konieczny przystęp do morza, pod-

czas gdy drugi z nich w czasie największych zamieszek wewnętrznych kraj nietylko od czyhającej nań zguby ocalił, lecz przez zwycięstwo walne pod Płowcami nad zakonem krzyżackim pierwszy o zerwanie łba tej hydrze na niehybną naszą zagładę czyhającej się pokusił. Syn jego, wielki Kazimierz III, jedyny z królów naszych, któremu po tomność przydomek „Wielkiego“ przyznała, zmienił kraj do niepoznania, tworząc z Polski „drewnianej“ „murowaną“. Jego dzieła pokojowe (zaopiekowanie się włościanami, uregulowanie praw i sądów (statut Wiślicki), rozszerzanie oświaty (założenie uniwersytetu krakowskiego) przewyższały wszystko, co przed nim na tem polu uczyniono. Polskę jako spuściznę po Piastach, odebrali Jagiellonowie w świetnie uporządkowanym stanie dzięki rozumnym i umiejętnym rządom Kazimierza. Walne zwycięstwo Władysława Jagiełły nad Krzyżakami (pod Grunwaldem) zabezpieczyło kraj raz na zawsze przed najgroźniejszym wrogiem, a szczęśliwe rządy następców Władysława postawiły Polskę na czoło państw europejskich i przez dwa wieki (1400—1600) na tym je utrzymały poziomie. Za krótkiego panowania Stefana Batorego na długi czas po raz ostatni Europa przez Polskę olśnioną została swoją sławą, Niemcy (Krzyżacy) drżeli o swoją skórę, a zajęciem Pskowa i później Moskwy stanęliśmy w sercu nienawistnej nam Rosyi. Ciężkie później spadły na kraj ciosy, gdy Szwedzi z północy, Rosya ze wschodu, a Kozacy, Tatarzy i Turcy z południa na Polskę natarli i brak wybitnego króla dał nam się wtenczas bardzo we znaki. Imię Polski spadło też za panowania takiego Jana Kazimierza i Michała Korybuta Wiśniowieckiego niezmiernie u państw ościennych, które zaledwie bohaterskiemi zwycięstwami Jana III. Sobieskiego na chwilę choć część dawniejszego blasku odzyskało. Zwycięstwo pod Wiedniem nad Turkami, oswabadzające chrześcijaństwo od groźnej nawały mahometańskiej, nie przyniosło już krajowi bezpośrednich korzyści i nie ochroniło go od upadku, lecz przypomniało Europie, że naród polski, o ile ma przywódzców dzielnych i działa zwartą ławą, cudów męstwa dokazać może. Król Sobieski był jednak tylko dzielnym wojownikiem, jako organizator państwa nie dorównał niestety trudnemu swemu naonczas zadaniu i nie zdołał kraju pozostawić w więcej uporządkowanym stanie, jak go objął. Za późno też już jako organizator zjawił się u nas król Stanisław Leszczyński, którego krótkie panowanie na bieg wypadków namacalnych zmian i korzyści natychmiastowych sprowadzić nie mogło. Wobec przemożnego już wtenczas wpływu Rosyi i jej popleczników musiał król ten ustąpić i dzieło upadku potoczyło się już nieprzerwanie dalej. Brak władzcy dzielnego, w rodzaju Chrobrego, Łokietka lub Stefana Batorego sprawił, że Polska, pierwszy kraj do niedawna w Europie, postrach wrogów, przedmurze chrześcijaństwa, stała się łupem dzielących się nią państw sąsiednich.

---



*Paula Wężyk.*

## *W smutną rocznicę!*

*Chociaż czas żółwim wlecze się krokiem*
*Dla tych, co ciągle cierpią w milczeniu,*
*To jednak mija wciąż rok za rokiem,*
*Mija, przepada gdzieś w cieniu.*

*Nieraz dzień jeden zgnębi człowieka,*
*Kiedy męczarni nad miarę mieści,*
*Lecz i on minie i on ucieka*
*Razem z ogromem boleści.*

*I tylko w serca cichej świątnicy*
*Zostaje jeden maleńki kątek,*
*Pełen najświętszych wspomnień, tęsknicy,*
*Pełen najdroższych pamiątek.*

*I gdy ten kącik pamięć otworzy,*
*Gdy się znienacka wedrze tam skrycie,*
*Serce się krwawi rumieńcem zorzy,*
*A z ócz łzy płyną obficie.*

— — — — — — — — —

*Stara świątynia, — u stóp ołtarzy*
*Staruszków grono modli się w ciszy,*
*Ciche łzy wspomnień płyną po twarzy,*
*A ból ich? — Któż go usłyszy?*

*Któż go usłyszy i któż ciekawy*
*Bólu, co w starczej mieści się piersi?*
*Oni dla naszej najdroższej sprawy*
*Szli krew przelewać najpierwsi.*

*Oni swe życie nieśli z zapałem*
*Dla dobra drogiej Ojczyzny,*
*W bój się rzucali z wiarą i z szałem,*
*Ponosząc rany i blizny.*

*Dzisiaj złamani, zgnębieni, sami,*
*Bo coraz któryś z pośród nich znika,*
*Bogu się tylko zwierzają łzami,*
*W Nim tylko mają sternika.*

*A łódź ich życia taka już krucha*
*I tak już w żyłach krew im zaskrzepła,*
*Tak im potrzebna jakaś otucha*
*I trochę serca i ciepła.*

*Lecz dziś świat inny — i ideały*
*Nie te, co były hen, przed pół wiekiem,*
*Młodzieńcze serca dziwnie stępiały*
*I nie drżą echem dalekiem.*

*O serca, serca, uderzcie żywo*
*Ku tym staruszkom z minionej doby,*
*Cześć im i miłość nieście prawdziwą,*
*Nim cicho zejdą w swe groby!*

*Poznań, d. 24. 1. 1910 r.*

---



**Stanisław Witkiewicz.**

# Kwiatki św. Franciszka.

ROZDZIAŁ XVI.

**O Śtym cudzie Śtego Franciska kie nawrócił zajadliwego wilka w Gubbio.**

Kie Śty Francisek siedział w Gubbio, w Nietalli, wzieno sie hań kansi okrutne wilcysko, brzyćkie i zajadliwe telo, co nie tak, coby ino stotek, ale i ludzi tępiło, a nieraz i do samego miasta sie pchało, jare ludzie nie śmieli wyźreć w pole przez flinty. Tak byś pedział jako na wojnie. Kie sie przytrafiło ka samemu iść, nie mogeś sie ani obronić, — jużci zestrasyli sie ludzie telo, co nik nie śmiał z miasta wyńść.

Śty Francisek, bardz ten hań naród rad widział i choć go ta ludzie jako odmawiali, zabrał sie iść ku temu wilkowi. Przezegnał sie, zmówił se paciorek i wyseł z miasta z towarzysami. Ale im sie to nie widziało — ostali, a Śty Francisek poset se sam, ka wilk bywał. I dobrze, idzie wilk naproci, ozdziawił kufe, a Śty Francisek go przesegnał i pozwał ku sobie.

Pódź ze haw wilcasku, bracisku! Oskurujem ci od Pana Jezusa, cobyś ani mnie, ani nikomu na prok despetu nie robił.

Ludzie na świecie! Skoro go Śty Francisek przezegnał, wilcysko, choć jako brzyćkie, zawarło kufe, ustało lecieć, przysło grzecnie, jak jagnie i legło se przy nogak Śtego Franciska.

Jużci, Śty Francisek pada mu tak: — Słuchaj wilku! Narobiłeś haw straśnyk łajdactw i skody moc, pomordowałeś boskie stworzenia przez boskiego pozwoleństwa, i nie tak, cobyś ino dzwirzęta bił i zarł, aleś telo śmiały, coś ludzi na podobieństwo boskie śtworzonyk, tępił. Złodziej jesteś, łajdus, morderca brzyćki, i warteśino wisieć. Ludzie na cie krzycom, pomstujom i syćka w tem haw mieście nie radzi cie widzom. Radbyk przecie wilku, coby pomiędzy was była zgoda, cobyś ludziom więcy despetu nie robił, coby ludzie odpuścili tobie krzywdy, coś im uczynił,

i coby nik, ani z ludzi, ani z psów juz cie nie prześladował.

Skoro Šty Francisek tak mu nakazował, jużci wilcasek, biedacek, jako móg, ogone i łbe, starał sie pedzieć, co on na to przystaje, co sie juz bedzie tego prawa trzymał.

Toz to Šty Francisek rzece: — No, mój wilcasku, kie mas wolom w zgodzie zyć i prawa dotrzymać, obiecujem ci, cc cie od syćkiego złego obroniem, pokiel bedzies haw w tym kraju pomiędzy ludziami żyć. Nie będzies więcy z głodu mreć, — bo ja juz wiem, coś sie ino bez ten głód złego zycia chycił. Ale, kie juz ci ludzie winy odpuscom, musis i ty obiecować, co nika nikomu do gardła nie skocys, cy ta z ludzi, cy ze dźwirząt. Cy mi przyrzekas? Wilk, ale to wyraźnie, łbe kiwie, co on juz przyrzeka. A Šty Francisek pada mu: — Cobyś mi wilku poręczył jako wykonas, coś obiecował, cobyk ci móg do znaku wierzyc. — I Šty Francisek wyciągnął ręke ku wilkowi, a wilk prawom łape grzecnie mu na ręce położył, coby jako dać znak, co on juz za sie ręcy.

No, kie tak, toz to Šty Francisek rzece: — Wilku, ozkazujem ci w imie Pana Jezusa, co byś hnetki, nie mieskajęcy se mnom seł. Pójdziemy ucynić zgode w imie Boskie.

Nie sprzeciwił sie wilk, wyzbierał sie hnet i poseł se ś nim grzecznie, jak jagnie. Cudowali sie ludzie widzęcy, jako oba wraz śli, — ozesła sie gwara o tem po mieście i syćka, chłopi, baby, dzieciska, ka jaki cłek wielgi cy mały, stary cy ta młody, — syćka sie pchali, coby uźreć Štego Franciska z wilke.

Kie sie juz wielga cyrniawa narodu zebrała, włazł Šty Francisek na wante — co juz bedzie kazał. Jużci gwarzył, jako za grzychy ludzkie Pan Bóg takie niescęście dopuścił ino co to nie nawiękse, bo natra w piekle, w której bedom gorzeć na wieki grześnicy, jesce straśniejsa niźli złość wilka. — I co ta wilk — on ino ciało zdole potargać. Weźcie se do głowy, pada, kie z gardła jednego płonego dźwirza teli strach na was wyjechał coście sie jaze trzęśli, jakoz macie sie bać gardła piekielnego. Moi ludzie kochani, obróćcie sie ku Panu Bogu, załujcie za grzechy wase, a Pan Jezus sie zlutuje i ustrzeze was hawok od wilka, a haniok od ognia piekielnego.

Kie jus skończył kazanie jesce im pedział tak: — Słuchajcie me moi braciskowie! Wilcasek, co je haw przed wami, przyrzokł i zaręcył, co jus bedzie z wami zył w zgodzie i nigdy, nika nijakiej krzywdy w nicem wom nie ucyni. Musicie mu za to przyrzec, co mu codzień dacie wyzywienie, co ino mu trza, a ja bedem za rękownika, co on słowa dotrzymie i jako pedzioł wykona. — Jużci syćko jednym głosem przyrzekli dawać wilkowi wyzywienie, jaze do końca jego życia.

A Šty Francisek przy całym narodzie rzece: — A ty wilku, cy obiecujes dotrzymać ś nimi zgody i nie rusyć ani ludzi, ani bydlątka, ani nijakiej stwory? — Juści Wilk, klęknął grzecnie, pochylił łeb i upochlebioł ogone i usami, kielo zdoleł, co juz kce tej zgody dotrzymać. Na ostatek Šty Francisek pada: — Mój wilcasku, radbyk cobyś, jakoś w polu za sie ręcył, cobyś haw przed całym narodem poręcył, co me nie przewiedzies, nie ocyganis i nie pohańbis. — Toś to moje wilcątko prawom łape podniosło i na ręce Štego Franciska położyło.

He raty! Kie to ludzie uwidzieli, dopiero sie ciesyli z telego cudu, a błogosławili Štego Franciska, a dziękowali Panu Jezusowi, co im takiego Świętego nogodził, co ik z gardła telego okrutnego dźwirza uratował.

Toć to pote Wilk, w onem Gubbio, zył cosi dwa roki. Chodził ka fciał, właził do chałup, pchał sie od dźwirzy do dźwirzy, nika, nikomu, nikany, nijakiej krzywdy nie cynił, ale to nigdy — przenigdy, ani jemu tyz nik, a syćkiego miał po gardło, bo go ludzie hań bardzo radzi widzieli i zywili grzecnie, ą ani jeden pies go nie zacepiał, ani nań nie scekał, kiesie tak bez ulice wiódł.

Na ostatek, po dwok latach, zmarło sie wilcaskowi ze starości. Zbanowali se ludzie i bardz go załowali, bo kie go widzieli tak miłosiernie bez miasto idącego to se zbacowali, kielo to dobry i bogobojny był Šty Francisek.



Jasełka w Nowym Targu w Galicyi.

# „Jasełka“ w Nowym Targu.

Dnia 6-go stycznia b. r. w święto trzech Króli odegrali uczniowie tut. gimnazyum „Jasełka“ w sali Sokoła. Na scenie ukazało się około 40 chłopców w malowniczych strojach góralskich i powitało gości odśpiewaniem prologu. Następne cztery akty obejmowały znaną ogólnie akcyę, a więc nocleg pasterzy, zjawienie anioła z wieścią o narodzeniu Chrystusa w stajence, naradę pasterzy nad powitaniem Go, przygotowanie darów dla Jezusa i przygody przy tem doznane. Następna scena rozegrała się na dworze Heroda Agryppy, króla żydowskiego, który na podstawie proroctw odczytanych przez kapłanów żydowskich wskazuje Trzem Królom Betlejem, jako miejsce narodzenia nowego króla. W obawie o swój tron wydaje rozkaz mordowania niewinnych dziatek betlejemskich, lecz oto zjawia się kościotrup śmierci, aby mu zwiastować ostatnią chwilę jego życia, wpadający jednak dyabeł odpycha śmierć, a sam porywa Heroda.

Następnie przesunął się przed oczyma widzów sympatyczny obraz pastuszków i Trzech Królów składających hołd Panu Jezusowi w stajence betlejemskiej.

Ogólny tok akcyi zaczerpnięto z podręcznika ks. Fr. Walczyńskiego, konieczne zmiany i uzupełnienie dodał oraz muzyką zaopatrzył tut. prof. gim. J. Orzech.

W przedstawieniu brali udział uczniowie od najmłodszych do najstarszych i wywiązali się z ról przeważnie zadowalniająco. Ogólne oklaski i u-

znanie zyskał Howaniec (IV. kl.) w roli Heroda, oraz Burka (IV. kl.) za szlachetny śpiew.



# Rozmaite sztuczki w kinematografii.

Gdy żywą fotografię wprowadzono do teatru, stały się obrazy kinematograficzne tylko numerem programowym przedstawień w Varietés. Fotograficznie zdjęte sceny, naturalnie ożywione — były zupełnie czemś nowem, i publiczność była już niezmiernie zadowoloną, gdy jej pokazano jakiś pochód uroczysty, paradę wojskową lub wyścigi konne.

Na obraz kinematograficzny składa się wielki szereg fotografij, które się szybko zdejmuje z przedmiotów będących w ruchu. Technika ta udoskonaliła się prędko, tak, że wkrótce nie ograniczano się już na przedstawianiu poszczególnych scen z życia publicznego, lecz zaczęto wynajdywać dramatyczne zajścia dla kinematografu, układać sceny i tworzyć tak kompletne, chociaż nieco przyspieszone komedye, tragedye, farse i dramaty. W końcu przyszła nawet kolej na opery i operetki z odpowiedniem towarzyszeniem muzyki.

Liczba teatrów kinematograficznych rosła szybko, a popyt na interesujące zdjęcia spowodował założenie wielkich fabryk filmów, które można bezwątpienia zaliczyć do najnowszych i najoryginalniejszych przedsiębiorstw naszego przemysłowego wieku. Są to zakłady, w których pracuje 20—30 aktorów, jeden lub dwóch reżyserów, czasem około setki statystów. Oprócz tego znajduje się tam scena z wszelkiemi możliwemi maszyneryami i rekwizytami. Aktorzy nabierają wnet wielkiej wprawy, pomimo, że szybko odbywające się przedstawienie, polegające wyłącznie na pantominie i nadzwyczaj ożywionej grze ruchów i twarzy, zupełnie odrębnego wymaga studyum.

A gdy sztuka ta rozwijała się coraz to dalej, wtedy uznali fabrykanci filmów, że teatr kinematograficzny nie ogranicza się na zajściach życia codziennego, przedstawianych też na innych scenach, i doszli do przekonania, że kinematograf potrafi prawdziwe tworzyć cuda! Może on służyć do reprodukowania całkiem zagadkowych wypadków, podczas kiedy widz nie przeczuwa nawet łączności pojedyńczych scen. Technika jest tu bardzo zajmującą i wydoskonaloną do najwyższego stopnia.

Jeden z najwięcej interesujących „tricków“ n. p. polega na tem, aby film, przyjmujący z natury rzeczy naturalne ruchy osób i przedmiotów, mógł się także w tył cofać. Widać więc n. p. konie, pędzące w szalonym biegu wstecz do mety. Pochody przechodzą najpierw w właściwym, potem w odwrotnym porządku. Często pracują też diafragmą soczewki, aby występujące osoby ukazywać już to wyraźniej, już to mniej wyraźnie na obrazach. Ukazujący się duch lub anioł zstępujący z wysokości niebiańskich ma się najpierw zjawić z daleka, jak za mgłą, potem zbliżać się do widza coraz więcej i w końcu dopiero przybrać postać pochwytną.

Niektóre efekta można wywołać chwilowem odstawieniem aparatu i tak służy urządzenie, zatrzymujące czynność aparatu pomiędzy innemi i do tego, aby martwym przedmiotom nadać życie. Jak kamera zdoła zatrzymać cały szereg zajść, szybko następujących po sobie, w ten sposób, aby rzucone na ekran mogły być publiczności żywo przedstawione, tak potrafi też zatrzymać poszczególne fazy odbywającej się czynności, w której brak ogniw, łączących całość. Przedstawiając jednak film, trzeba go gładko rozwinąć, tak, aby poszczególne ruchy, będące w rzeczywistości w znacznem od siebie oddaleniu i rozdzielone innemi zajściami, mogły tu następować bezpośrednio po sobie. Uważny widz dostrzega czasem jakąś niedokładność, jakąś rysę w obrazie.

Kładzie się n. p. dużą kostkę na stół, i zdejmuje się z tego fotografię. Teraz wchodzi robotnik i kładzie na pierwszą kostkę drugą — tej sceny nie zdejmuje się, aparat jest odstawiony, natomiast zdjęcie następuje zaraz po oddaleniu się robotnika. Teraz kładzie się trzecią kostkę i t. d. Jeżeli więc obrazy, zgadzające się z sobą zupełnie co do kładzenia kostek, zostaną przedstawione z największą szybkością, bez najmniejszej przerwy, to wywołują takie wrażenie, jak gdyby pojedyńcze kostki zjawiały się same i układały w piramidę, znoszącą się znowu samodzielnie, gdy film zostanie poruszanym w odwrotnym kierunku. Jeżeli się zamiast kostek bierze kawały jakiejś gipsowej figury, to może się skulptura, a zatem przedmiot martwy, samodzielnie złożyć i rozłożyć. Zamiast martwej figury, t. j. w bezpośredniej łączności z ustawiającą się figurą, może stanąć żywa osoba, zejść z filaru i tańczyć, tak, że zdaje się, że martwy posąg nabrał życia. Głównym warunkiem jest nadzwyczajna szybkość przedstawienia. Ponieważ jednak występująca osoba żywa nie potrzebuje być fotografowaną, bo ukazuje się dopiero w obrazie, gdy stoi na filarze, przeto widz nie może zauważyć żadnej przerwy w czynności przy przedstawianiu filmu. Dla widza zamienia się dzięki tej szybkości martwa skulptura w żywego człowieka.

Z większem jeszcze może zdumieniem patrzą widzowie na to, jak z bryły gliny powstaje popiersie, pomimo, że pracy ręki ludzkiej nie widać. Wykonanie tej zagadki polega po prostu w tem, że film, zatrzymany jest po każdem kształtowaniu się gliny, że objektyw jest automatycznie zamkniętym, i że potem wprowadza się znowu modelowanie bryły, i znów się aparat odstawia, i tak ciągle, dopóki modelowanie nie jest przynajmniej w kilku setkach stadyów zdjętem, podczas kiedy ten, który glinę kształtuje, nigdy się na obrazie nie ukazuje. Przygotowanie takiego filmu trwa nieraz kilka dni, mianowicie, jeżeli modelujący wykonuje robotę bardzo starannie, podczas przedstawienia bywa obraz rozwijanym w przeciągu kilku minut i wywiera wrażenie wprost zdumiewające. Ten, który najważniejszą odgrywa tu rolę t. j. modelujący, nie ukazuje się wcale — glina zamienia się na pozór automatycznie w posąg.

Takich „trick“ów używa się zawsze, jeżeli martwe przedmioty mają się w obrazie poruszać; tak samo można szybką zamianę stworzeń żyjących osięgnąć w ten sposób, że przy zdejmowaniu fotografii wprawia się także raz po raz w ruch aparat zatrzymujący, przyczem można naturalnie rolę jednej osoby, przedstawiać przez kilka osób w rozmaitych ubraniach. Widzimy n. p. zamianę małej sprzedawaczki na modnie ubraną damę, lub śpiącego pijaka, którego pędzący automobil przecina na dwie części, a którego potem litościwy szofer znów za pomocą narzędzi, wiezionych w automobilu, sporządza. Ludzie zamieniają się w zwierzęta, zwierzęta w ludzi. Można też łatwo zastępować ludzi, chociaż po części tylko, lalkami, szybkie bowiem rozwijanie i przedstawianie filmu uniemożliwia rozpoznanie takiej zamiany. Rozkrajany na kawały pijak może być doskonale zastąpiony lalką, którą się kładzie podczas odstawienia aparatu zamiast żywej osoby, a sporządzenie i łączenie ciała odbywa się tak prędko, że widz pojedyńczych czynności zauważyć nie może. Zanim się spostrzeże, staje już na miejscu martwego przedmiotu żywy znowu pijak.

I tak widzimy na scenie kinemato-

graficznej najrozmaitsze cuda, przedstawione za pomocą tych lub owych „tricków.“ Z róż, wazonów, małych kuferków i t. p. wychodzą wróżki, nimfy i czarodziejki, tańczą i znikają, a całe szeregi osób przebiegają wysokie i strome ściany skał do góry i na dół w przeciągu kilku sekund, na co w rzeczywistości potrzeba by co najmniej kilka godzin. Błazny pędzą w niemożliwych skokach tyłem po schodach, banie, melony i t. p. toczą się same pod górę, małe dziewczynki skaczą bez natężenia z okien czwartego piętra na bruk i z ulicy napowrót do okien i stawają zdrowe i całe o ile możności na zastawionym stole.

Ale oprócz tego jest jeszcze jeden sposób, a tym jest zwierciadło. Pochwyca ono zajścia, odbywające się daleko od sceny i występujących na niej aktorów, tak, że n. p. karły o najmniejszej postaci mogą być przedstawione przez ludzi normalnie wysokich. Wydawają oni się bardzo małymi z powodu znacznej odległości od zwierciadła, ale musi ono być tak ustawione, że osoby w niem przedstawione pozornie są czynne. Wszystko zależy tu jedynie od zręcznego zastósowania się aktorów do obrazu w zwierciadle. In natura spostrzeżonoby zapewne zwierciadło, chociaż brzegi jego zakryte są zgrabnie draperyami. Ale tutaj jest mowa tylko o fotografowanem zwierciadle i o zajściach w niem się odgrywających, o obrazie, odwijającym się z szaloną szybkością, a widz zanadto jest zajęty przedmiotem, aby uważał na technikę.

Dokończenie nastąpi).



*Tadeusz Mielcarzewicz.*

# Nowości literackie.

*Dr. Roman Dyboski,* docent Uniwersytetu Jagiellońskiego: *Literatura i język średniowiecznej Anglii.* Z mapą. Wydane z zasiłkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. 1910. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, — Gebethner i Wolff.—Str. 12 i 418 wielkiej 8-ki. Cena: 8 koron.

Książka powyższa jest pierwszą próbą przewodnika na polu naukowem dotąd u nas nieuprawianem, stąd ocena *fachowa* pracy p. Dyboskiego niezmiernie jest trudną, gdyż wymaga głębokich studyów nad dziejami języka i literatury angielskiej; ograniczymy się też na podaniu krótkiego sprawozdania z tej książki, przyczem sądzimy, że obieramy drogę najprostszą udzielając głosu kompetentnemu znawcy danego tematu, tj. autorowi samemu. Oto jego *auto-referat:*

Książka przeznaczona w pierwszym rzędzie jako podręcznik uniwersytecki dla akademickiego studyum dziejów języka i literatury angielskiej, ale przystępna także dla szerszego wykształconego ogółu, przedstawia w ogólnych zarysach rozwój polityczno-społeczny Anglii od jej osiedlenia przez Anglosasów w V i VI-ym wieku aż do początków ery Odrodzenia, na tem tle zaś charakteryzuje stan języka co do gramatyki i słownictwa, oraz opowiada dzieje literatury poetycznej i prozaicznej w poszczególnych okresach tej średniowiecznej epoki, łącząc w ten sposób encyklopedycznie przedmioty zazwyczaj w osobnych podręcznikach traktowane. — Dodano tu siedem wybranych prób poezyi i prozy średniowiecznej angielskiej w oryginale z tłómaczeniem i obszernemi objaśnieniami (str. 338—384), dalej bibliograficzny spis źródeł i opracowań przedmiotu, mogący służyć jako przewodnik do gruntowniejszych i specyalnych studyów (str. 385—394), wreszcie alfabetyczny indeks nazwisk, tytułów i form gramatycznych (str. 395—418), oraz mapa wysp brytyjskich dla ułatwienia oryentacyi topograficznej.

Treść dzieła jest następująca: rozdział 1): Początki historyczne narodu angielskiego: inwazya Anglii przez Anglosasów w V i VI wieku, ich stosunek do podbitych Keltów.—2)Podstawy germańskie języka angielskiego: stanowisko języków germańskich pośród indoeuropejskich, ich ugrupowanie, charakterystyka języka literackiego staro-angielskiego i jego narzeczy. — 3) Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Anglii. Kultura i literatura staro-angielska. Styl germańskiej poezyi narodowej. Epopeja o Beowulfie. Poezya chrześcijańska w Anglii. Usiłowania literackie Bedy i króla Alfreda Wielkiego. — 4) Inwazya skandynawskich wikingów, asymilacya najeźdźców, żywioł skandynawski w języku angielskim. — 5) Podbój Anglii przez Normanów (1066), rządy i kultura francuska w średniowiecznej Anglii, ilustrowane przeglądem słów francuskich w języku angielskim. — 6) Rozwój mowy ludowej angielskiej w okresie francuszczyzny, rozłam na narzecza, ich znamiona i początki literatury w nich napisanej. — 7) Geoffrey Chaucer, twórca narodowej poezyi angielskiej (1340—1400), i jego współcześni. Reformator religijny Wycliffe, pierwszy tłómacz Pisma świętego na język angielski. — 8) Caxton, pierwszy drukarz angielski. Proza i poezya angielska XV wieku. Początki języka literackiego nowo-angielskiego. — 9) Historya Szkocyi aż do Maryi Stuart. Odrębny rozwój narzecza angielskiego na Podhalu szkockiem. Poeci i literaci szkoccy od XIV do XVI wieku.

Autor żywi — jak czytamy w przedmowie — nadzieję, że praca jego zachęci większe grono młodzieży akademickiej do studyum filologii i historyi kultury angielskiej; poleca ją także uwadze pracowników na graniczących z tą nauką polach historyi kultury średniowiecznej, głównie filologii niemieckiej i francuskiej: będą się mogli do niej udawać po informacye z zakresu pokrewnego przedmiotu, których po specyalnych dziełach anglistycznych szukać czas im nie pozwala, a w rozdziałach jak drugi i piąty znajdą nawet wiadomości, ważną i integralną część ich studyów stanowiące.

Od siebie dodamy jeszcze, że dzieło dr. Dyboskiego napisane żywym i pięknym stylem, zapoznaje w ście śle naukowy, a pomimo to w bardzo przystępny sposób z literaturą i językiem średniowiecznej Anglii. Kto pragnie rozszerzyć horyzont swojej wiedzy i poznać dokładnie tę tak ważną dziedzinę, ten bez książki niniejszej obejść się nie może. Studyum całego tego materyału z pomocą podręcznika dr. Dyboskiego stanowić będzie dla inteligentnych czytelników prawdziwą przyjemność; korzyści naukowe, jakie osiąga się dzięki tej książce, są bardzo poważne.

*Dr. Roman Dyboski: Charles Kingsley i socyalizm chrześcijański w Anglii.* — Kraków 1910. — Nakładem autora. Odbitka z „Przeglądu Polskiego“.

Powyższa praca *dr. Dyboskiego,* docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, napisana zwięźle i barwnym językiem, stoi na wysokości zadania. Studyum to przedstawia życie i działalność pisarską Karola Kingsleya, wybitnego, a u nas zupełnie nieznanego pisarza angielskiego z XIX-go wieku (1819—1875). Kingsley uzyskał w Anglii rychło sławę „jednego z klasyków prozy powieściowej.“ — Dr. Dyboskiemu należy się za to wdzięczność, że za jego pośrednictwem zapoznajemy się z działalnością społeczną i literacką pisarza, który — jak powiada autor — w powieściach swoich zostawił najtrwalszy i jedyny w literaturze pięknej pomnik wielkiego ruchu społecznego w Anglii około połowy XIX-go wieku, ochrzconego przez historyę nazwą „chrześcijańskiego socyalizmu“ *(Christian-Socialism).* — Kingsley przez całe życie oddawał się z zapałem wielkim ideałom naukowym, im poświęcał wszystkie swoje siły, całego siebie. Pracował niestrudzenie. „On zaiste“ — kończy autor piękny swój szkic — „jak mało który, padając pod brzemieniem pracy całego życia, miał prawo rzec o sobie słowami Psalmisty (69,9): „Gorliwość o dom Twój pożarła mnie.“



# Hygiena zegarka.

W artykule niniejszym zastanowimy się pokrótce nad delikatnym i subtelnym organizmem, jakim jest zegarek i nad codziennemi staraniami, których on winien być przedmiotem.

A więc przedewszystkiem kiedy należy nakręcać zegarek? Bezwarunkowo zrana i to dla bardzo prostej przyczyny. Siłą poruszającą mechanizm zegarka jest sprężyna, czyli wstążka stalowa

bardzo elastyczna, zahartowana i starannie zwinięta w 11 do 13 zwojów, zawartych w ciasnej przestrzeni, jakby w pudełeczku okrągłem. Sprężyna skręcona jest w stanie napięcia i rozwijając się, wykonywa pracę, która, niestety, nie jest wcale równomierną. Z początku jest największa i słabnie aż do zera w miarę, jak sprężyna się rozwija. Z tego względu nakręcając zegarek zrana, zużytkowujemy w ciągu dnia tę część pracy sprężyny, która odpowiada regularniejszemu ruchowi całego mechanizmu. W nocy, kiedy zegarek leży spokojnie i nie ulega żadnym wstrząśnieniom, siła poruszająca może być nieco mniejsza.

Gdy zegarek wyjmujemy z kieszonki, to temperatura środowiska, w którem się on znajduje, prawie zawsze jest niższa od temperatury kieszeni; jeżeli więc nakręcamy zegarek w chwili nagłego oziębienia, to sprężyna na razie zupełnie sztywna nie będzie mogła się skurczyć i pęknie. Niebezpieczeństwa tego unikamy, nakręcając zegarek zrana, zanim go włożymy do kieszonki, przechodzi on bowiem z temperatury chłodnej do ciepłej temperatury kieszeni. Zegarek średnio chodzi od 30—40 godzin; jeżeli zapomnimy go nakręcić wieczorem, to stanie w nocy; jeżeli zaś mamy zwyczaj go nakręcać zrana i uchybimy raz temu zwyczajowi, to zegarek zatrzyma się w ciągu dnia i wtedy nierównie łatwiej, niż w nocy, można będzie temu zaradzić.

Nadmienić jeszcze wypada, że zupełnie błędne jest mniemanie, jakoby się zegarek mniej niszczył, jeżeli np. wypoczywa cały tydzień, a nakręcany bywa tylko w niedzielę. Przeciwnie, gdy go nie używamy, oliwa na ośkach powoli się zgęszcza, zegarek chodzi coraz gorzej i nareszcie zupełnie staje.

Ale czy w ten, czy w ów sposób jest nakręcany, zegarek zawsze ulega wpływowi swego położenia; w pionowem zawsze się nieco spóźnia z powodu zwiększonego tarcia, gdy w położeniu leżącem, gdzie waga mechanizmu nie odgrywa roli, tarcie jest dużo mniejsze, zegarek się zatem spieszy. W egzemplarzach precyzyjnych uchybienia te są przewidziane i kompensują się, ale zarówno spostrzeżenia, jak zmiany położenia dokonywane są w ściśle oznaczonym czasie, co w życiu codziennem jest wprost niemożliwe. Dlatego też najlepiej, gdy zegarkowi nadajemy stale położenie pionowe. Jeżeli mimo to spieszy, lub spóźnia się równomiernie, to zegarmistrz zlekka posunie igiełkę wewnętrzną, aby otrzymać czas pośredni, czyli właściwy. Zegarek zawieszony na ścianie musi koniecznie być oparty na czemś; inaczej będzie wprawiony w ruch wahadłowy, który jest szkodliwy.

Czy zegarek należy nosić w górnej, czy w dolnej kieszonce kamizelki? Na pytanie to odpowiedź jest nieco trudna. W dolnej zegarek mniej jest narażony na wstrząśnienia skutkiem ruchów ciała, ale przy podnoszeniu ciężarów, zwłaszcza przyciskając je do siebie, możemy zegarek uderzyć, a nawet zgnieść. Na piersiach nie będzie narażony na uderzenie, ale za to wystawiony będzie na skutki każdego poruszenia. Panie, noszące zegarek przypięty, utrzymują go naturalnie stale w położeniu pionowem, ale wystawiają go z konieczności na uderzenia i wstrząśnienia.

Zegarek powinien być zabezpieczony od kurzu, zmian temperatury, wilgoci i magnetyzacyi.

Otwierać go powinien jedynie tylko zegarmistrz; najdrobniejszy pyłek, który się dostanie do wnętrza, może sprowadzić zatrzymanie. Kieszonka, w której się nosi zegarek, musi być utrzymana w największej czystości; należy ją często odwracać i czyścić szczotką, a to dla tego, że mikroskopijne niteczki, oddzielające się z czasem od każdego materyału, przedostają się koniec końców do mechanizmu, mimo najszczelniejszego zamknięcia. To przenikanie najwyraźniej się spostrzega, gdy właściciel zegarka przy zajęciu zawodowem z konieczności narażać się musi na kurz, jak budowniczy, inżynier, lub sportowiec. Unikać też należy noszenia w tej samej kieszeni innych przedmiotów, które mogą rysować kopertę lub szkło zegarka.

Mylą się również ci, którzy przypuszczają, że zegarek znosi równie dobrze bardzo wysoką, jak i bardzo niską temperaturę. Niebezpiecznie jest kłaść go na kamieniu lub marmurze, wyjąwszy z kieszeni. Taka raptowna zmiana temperatury nietylko wpływa szkodliwie na ruch zegarka, ale może też sprowadzić pęknięcie sprężyny lub szkiełka. Najlepiej jest umieszczaćzegarek na noc na specyalnym postumenciku, wyklejonym grubem suknem, które będąc złym przewodnikiem ciepła, nie dopuści raptownego ochłodzenia.

Mechanizm zegarka przeważnie składa się z części stalowych, które bardzo łatwo rdzewieją pod wpływem wilgoci w najrozmaitszej formie. Jeżeli więc, naturalnie przypadkowo, zegarek dostanie się do wody lub jakiegobądź płynu, należy go czemprędzej oddać do zegarmistrza. Tylko szybkie zatrzymanie rdzewienia może go ocalić.

Zegarmistrz nie powinien otwierać zegarka przyniesionego prosto z zimna, dopóki się nie ogrzeje; inaczej utworzy się w mechanizmie wilgotne skraplanie.

Wreszcie wszystkie wogóle maszyny elektryczne są strefą magnetyczną, której siła zależy od siły prądu i od konstrukcyi danej maszyny. Zegarek w tej strefie może więc uledz magnetyzacyi, a co za tem idzie, wahaniom, nawet zupełnemu zatrzymaniu. Dlatego też bezpieczniej jest odłożyć zegarek, zanim się właściciel jego zbliży do dynamomaszyny.

Zastosowanie się do powyżej przytoczonych rad uchroni zegarek od szybkiego zużycia, a posiadacza od zbyt częstego uciekania się do pomocy zegarmistrza.



*Paula Wężyk.*

## *Wieczorem.*

*Już wszystka dzisiaj wykończona praca,*
*Wszystką już matuś zrobiłam robotę,*
*A tam, na niebie Bóg gwiazdki wyzłaca*
*I świecą cudne, promieniste, złote,*
*I lekki wietrzyk igra z złotą chmurką*
*I gwiazdek tyle błyszczy w koło, tyle;*
*Pozwól mi matuś wybiedz na podwórko,*
*Stanąć, popatrzeć, choćby tylko chwilę...*

. . . . . . . . . . . . .

*O, jaka cudna ta gwiazd złotych smuga,*
*Jakby gromnica jasny miesiąc płonie,*
*Ta gwiazdka moja, spójrz matuś, jak mruga,*
*Jak mnie tam woła... O, wyciągnę dłonie,*
*Może do ramion skrzydeł białych dwoje*
*Anioł mi przypnie, — ponad ziemię, nagle*
*Pofrunę lekka i porzucę znoje,*
*Gdy mnie do nieba wzniosą skrzydeł żagle.*

. . . . . . . . . . . . .

*O, matuś, matuś, czemu stać tu muszę,*
*Czemu do ziemi przytłacza mnie ciało,*
*Kiedy ku niebu wysyłam wciąż duszę,*
*Gdy tylko tam by serce me być chciało?*
*Ni jam do ludzi, ani ludzie do mnie,*
*Wieczna tęsknota serce me ugniata,*
*Tylko mi ciebie, matuś, żal ogromnie,*
*Ale mi nie żal, nie żal tego świata.*

. . . . . . . . . . . . .

*Tyle tu troski i zawodów tyle,*
*Dzień każdy niesie jakieś smutki nowe,*
*Na własnych marzeń trzeba stać mogile,*
*Pod jarzmo ciężkie znojną schylać głowę.*
*Ty swą miłością nie trzymaj mnie dłużej,*
*Pomnij, że jam jest Chrystusowa sługa,*
*Chrystus mnie wzywa do nowej podróży,*
*Spójrz matuś w niebo, gwiazdka na mnie mruga.*



V. M. Vasnecov,

**Po bitwie.**

ALBUM „PRACY“.

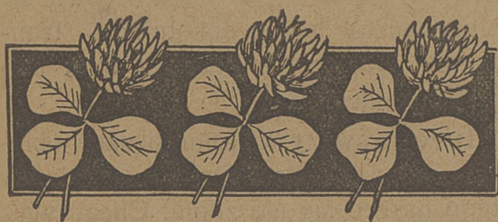
DRUKIEM „PRACY“.

Jan Matejko. **Zygmunt August w Lublinie dnia 1-go lipca 1569-go roku.**

Obraz przypomina ostatni sejm w Lublinie, na którym Zygmunt August uwiecznił imię swoje. Wśród licznego grona najznakomitszych dostojników i wydatnych postaci historycznych, widzimy króla w szatach żałobnych, jakie często nosił od śmierci Barbary. Na obliczu schorzały, bo już choroba nieuleczalna go dotknęła, ale myśl wyższa opromienia całą postać. Nie długo też, bo dnia 7-go lipca 1572 r., mając lat 52, zakończył życie w Knyszynie.

Unia Lubelska należy do najważniejszych i najchlubniejszych zdarzeń dziejów polskich. Jest to akt, którym związały się Polska, Litwa i Ruś a także wszystkie inne części Rzeczypospolitej w jedną nierozerwalną całość po wieczne czasy.

Na pamiątkę Unii Lubelskiej usypano w trzechsetną jej rocznicę we Lwowie kopiec, który po wieczne czasy świadczyć będzie o nierozerwalnym związku Polski, Litwy i Rusi.



**Władysław Bełza.**

## Mieszczki krakowskie u królowej Anny.

Dobrze już była w lata posunięta królewna Anna Jagiellonka, kiedy oddawała swą rękę Stefanowi Batoremu. Wszystkie jej siostry powychodziły za mąż, ona tylko jedna została w panieńskim stanie. Po prawdzie, nie miała im czego zazdrościć, bo żadna z nich nie była szczęśliwa w małżeństwie. Zofia wydana za księcia Henryka Brunświckiego, z goryczą patrzyła na jawne miłostki męża z ulubienicą jego Ewą von Trotte; Izabela, poślubiona Janowi Zapolli, musiała uchodzić z Węgier i szukać przytułku w Polsce, — a najbardziej przez Annę ukochana Katarzyna, królowa szwedzka, przeszła wraz z mężem tak straszne koleje losu, że jej życie było prawdziwą tragedyą.

Nie spieszyła się więc królewna Anna z zamążpójściem, ale i z nią się też nie śpieszono. Wogóle nasze Jagiellonki, dość późno wychodziły za mąż. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby nie miały starających się o ich rękę, — ale tak jakoś się składało, że królewny na dobre zaczynały już siać rutkę, nim zdarzył się oblubieniec.

Pozostawszy w panieńskim stanie, mieszkała królewna Anna, od śmierci ojca i wyjazdu matki, przy swoim bracie, królu Zygmuncie Auguście, cierpliwie oczekując losu, jaki Bóg jej zdarzy. Oddana modlitwie i miłosiernym uczynkom, ubóstwiana przez wszystkich, uważana za świętość narodową, zamknęła się jak w relikwiarzu w prastarych murach zamku wawelskiego, i tu, żyjąc w ciszy i oddaleniu od zgiełku świata, doczekała się lat pięćdziesięciu życia, i smutnej wieści o śmierci jedynego brata, który umarł w Knyszynie 1572 roku.

A jednak dopiero ta podwójna żałoba: po ukochanym bracie i po straconej niepowrotnie młodości, otworzyła jej widoki na przyszłość.

Sieroctwo jej, wzruszyło wszystkich. Przez nie, stała się ona oblubienicą całej Polski. O niej naród teraz tylko myślał, jej losem tylko się troskał, a rozporządzając największem dobrem, jakiem lud wolny mógł swych wybrańców obdarzyć, dla niej przeznaczył tron polski.

Od tej chwili, Anna Jagiellonka uważana była przez wszystkich za infantkę polską.

Ktokolwiek ubiegał się o wakującą po zmarłym królu koronę, temu za warunek stawiano poślubienie królewny Anny. Pod tym tylko warunkiem wybrany został Henryk Walezy, i pod tą kondycyą, po ucieczce Walezego z Polski, wstąpił na stopnie tronu Stefan Batory.

W kilka miesięcy po odbytej elekcyi, zjechał nowo obrany król do Krakowa i tu, dnia 1-go maja 1576 roku, odbyła się w katedrze na Wawelu koronacya obojga królestwa, a nazajutrz ślub królowej Anny, z przeznaczonym jej od Boga małżonkiem.

Było dawnym u nas zwyczajem, że po ślubie królewskim, szły z pokłonem do nowożeńców wszystkie stany narodu, składając im życzenia i podarki,

które zwały się po staremu „poczta,“ a których tradycya dotąd się utrzymuje. Tak było i tym razem.

Skoro tylko heroldowie przy dźwieku trąb, ogłosili mieszkańcom starej, piastowskiej stolicy o zawartem małżeństwie między Batorym a Anną, — wnet na pokoje królewskie zaczęła sunąć długa procesya panów i duchowieństwa, szlachty i rycerzy, znaczniejszych mieszczan i uczonych profesorów starej Akademii Jagiellońskiej...

Szli więc naprzód panowie senatorowie w puszystych deliach, spiętych na brylantowe guzy, w kapiących od złota żupanach, w czapkach, na których chwiały się drogie czaple pióra, lub osypane dyamentową kaszką kity, obok sędziwych biskupów w mitrach sadzonych perłami, a za nimi kwiat rycerzy w bogatych zbrojach i jaśniejszych od słońca szyszakach, co wszystko razem zlewało się w jedyny w swoim rodzaju obraz, pełen przepychu i malowniczości. Poza tym orszakiem, stanowiącym czoło narodu, postępowała Akademia krakowska w powłóczystych togach, obramowanych gronostajami, poprzedzana berłami, nadanemi jej przez królów polskich, a w końcu panowie radni i patrycyusze miejscy, którzy acz nie herbowni, nie ustępowali w niczem szlachcie, bo mieli duże przywileje i świetną tradycyę Wierzynka za sobą.

Wszyscy oni składali Królestwu ozdobne życzenia, i w cycerońskich zwrotach wypowiadali im swoje uczucia.

Ale była to dopiero urzędowa część tego uroczystego aktu. Po niej następowała druga, która jeśli nie zewnętrznym blaskiem, to serdecznością miała przyćmić tamtą i na długo zapisać się w pamięci współczesnych.

Po mężczyznach, szły niewiasty z pokłonem do królowej. Rozwinął się barwny wieniec urodziwych pań krakowskich, żon rajców patrycyuszów miejskich, strojnych w jedwabie i atłasy, w drogocenne futra i złote łańcuchy, w wysokie kornety, z pod których zwieszały się ciężkie zausznice, — i uboższych mieszczek, w barankowych jupkach i białych rańtuchach na głowie, a wszystkie one zbliżały się do królowej z jakąś serdeczną poufałością i rozrzewnieniem w twarzy, przypadając do jej stóp i obejmując kolana.

Bo Anna Jagiellonka, to bliska ich sercu postać, to pełna miłosierdzia pani dla wdów i sierót; to ich opatrzność i jedyna nieraz w nieszczęściu ucieczka, — więc szły do niej nie jak poddanki do królowej, ale jak dzieci do matki, pewne z jej strony łaskawego słowa i życzliwego przyjęcia.

A gdy już dobra Jagiellonka przywitała się z niemi, zaczęły one na wyścigi rozkładać przed nią swe dary. — Bogate panie ofiarowały królowej pozłociste nałewki, srebrne miednice, kubki z kryształu i wreszcie cenne ozdoby do stroju niewieściego ze złota i drogich kamieni, — a proste mieszczki, niosły królowej na jej nowe gospodarstwo, to kurcząt parę, to kapłona, to osełkę masła lub gomółkę sera, inne zaś bardziej zasobne, dźwigały nieckę krepli lub świeże kołacze, a te znów, których mężowie przy Wiśle mieszkają, ofiarowały swej pani złowione w rzece szczupaki lub okonie. I tak każda z nich ochotnem sercem składała na co ją stać było, a rozczulona Jagiellonka z jednakiem uczuciem przyjmowała dary bogatych i ubogich, mile paniom krakowskim dziękując za ich pamięć i przywiązanie.

Dalsze koleje życia tej ostatniej Jagiellonki na tronie polskim, należą już do historyi. To tylko dodamy, że królowa przeżyła z mężem pełny lat dziesiątek, a gdy po upływie nowych lat dziesięciu i ją z kolei kładziono do grobu, to płacz był powszechny w Polsce, bo z nią, jak mówił złotousty nasz Skarga, „odeszło uweselenie poddanych i ludu jej ozdoba.“



# Wojna o polską koronę.

Interesująca to rzecz, że sprawy polskie budzą zajęcie nawet w odległej Azyi.

Obecny następca tronu syamski odbywał niedawno nauki uniwersyteckie w Anglii, odając się studyom nad historyą powszechną. Na tle dziejów powszechnych napisał pracę, za którą uzyskał dyplom. Praca ta dotyczy wojny, którą Francya prowadziła przeciw Austryi, chcąc wywalczyć Leszczyńskiemu koronę polską...

Szlachta polska sprzyjająca Stanisławowi Leszczyńskiemu, wybrawszy go królem, nie mogła chwycić za oręż. Przeciw niej stali wprawdzie nieliczni, lecz pod finansowym względem silni możnowładcy, znachodzący osłonę w kilkudziesięciotysięcznej armii rosyjskiej i towarzyszących jej Kałmukach i Kozakach. Nadto weszły do Polski wojska saskie. Wobec takiej sytuacyi okazywała się wojna niemożliwą.

Przecież na innym terenie przyszło do starć krwawych.

Przeciw niemieckiemu cesarzowi, związanemu z Rosyą i Saksonią, utworzyło się inne trójprzymierze (1733). Stanowiły je Francya, Sardynia, Hiszpania. Już w jesieni 1733 roku, Ludwik XV., zięć Leszczyńskiego, wysłał wojska francuskie do Włoch północnych i do ziemi nadreńskiej. Rozpoczęła się wojna. Francuzom szło wszystko po myśli. Armie niemieckie (austryackie) zostały rozgromione.

Leszczyński natomiast w Polsce doznawał niepowodzeń. Przed zastępami Sasów i Rosyan uchodząc, schronił się do Prus Zachodnich, gdzie Gdańsk go przygarnął w swoich murach.

Gdańsk, miasto przeważnie niemieckie, niegdyś nadzwyczaj butnie postępowało. W szesnastym wieku nawet Stefana Batorego za monarchę uznać nie chcąc, podniosło rokosz otwarty. W bitwie nad Lubieszowskiem jeziorem trzeba było opór mieszczan złamać.

Z biegiem czasu atoli zmieniły się zapatrywania niemieckich obywateli w Gdańsku. Zaczęli poczuwać się do wdzięczności za to, że przez Polskę do dobrobytu doszli. W roku 1733 oświadczyli się za Leszczyńskim, postanawiając go bronić.

Tymczasem przybył saski elektor August III do Krakowa w styczniu 1734 roku i koronował się królem.

W lutym 1734 liczna armia rosyjska posunęła się pod mury Gdańska i zaczęła do miasta szturmować. Daremnie domagał się Leszczyński od Francyi posiłków zbrojnych. Ludwik XV był zajęty wojną prowadzoną w Włoszech i nad Renem. Dopiero w maju pojawił się dwutysięczny hufiec ochotników francuskich. Odsiecz ta przecież była niewystarczająca.

Przetrwawszy kilkomiesięczne oblężenie, poznał Leszczyński, że Gdańsk długo oprzeć się nie zdoła. Chcąc więc uniknąć rosyjskiej niewoli postanowił opuścić miasto, zanim zostanie zdobyte. Oddalił się pokryjomu za chłopa przebrany (w czerwcu 1734) do Prus Wschodnich.

Król pruski Fryderyk Wilhelm I powziąwszy wiadomość o tym wypadku, ucieszył się ogromnie, gdyż nadeszła sposobność odegrania roli opiekuna względem wygnańca.

Fryderyk Wilhelm w czasie poprzedzającym elekcyę oświadczył się za Augustem III., jeśli wzamian za to otrzyma Kurlandyę. Sasi i ce arz łudzili go nadzieją tej nagrody. Mimo to obiecali Rosyi, że powierzą Kurlandyę jej wpływom. O tem dwulicowem postępowaniu dowiedział się król pruski i zapałał nienawiścią do dworu w Wiedniu i w Dreźnie.

Zaczął odtąd sprzyjać Leszczyńskiemu, jako przeciwnikowi Saksonii i



U wróżki.

Austryi. Posłom swoim w Warszawie oznajmił, że nie uważa Augusta III za prawowitego króla. Z niewysłowioną radością przyjmował nieustające wieści o przewagach francuskich w Włoszech i nad Renem.

Tułający się Leszczyński zostaje zaproszony do Królewca. W własnym zamku Fryderyk Wilhelm udziela mu gościny. Pozbawionemu środków do utrzymania, trzysta talarów miesięcznej pensyi wyznacza. Zachęca go wraz do podjęcia energicznej agitacyi w Polsce.

Leszczyński wydaje manifest do szlachty, wzywając ją do utworzenia konfederacyi (związku) przeciw Augustowi.

Gorące słowa manifestu znajdują poklask. Szlachta zawięzuje konfederacyę w Dzikowie (w listopadzie 1734). Lecz niewielu przystępuje do niej, obawiając się Sasów i Rosyan ciężących nad krajem.

Lecz tymczasem August III utwierdzał swoje rządy, a sytuacya Leszczyńskiego pogarszała się coraz widoczniej. Odsłonił także przyłbicę Hohenzollern oznajmiając, że ma ochotę zagarnąć Prusy Zachodnie. Przecież pełnomocnik Leszczyńskiego wzdrygał się uwzględnić tę ohydną propozycyę. Sądził atoli Fryderyk Wilhelm, że „wybrzeże“ (tak skromnie nazywał Prusy Zachodnie) uzyska może później za pośrednictwem Francyi.

Atoli kardynał Fleury, kierujący polityką francuską, wiedział, że wobec Hohenzollernów wypada być ostrożnym. Z zadowoleniem spoglądał na uwieńczone dobrym skutkiem czyny wojenne armii Ludwika XV. Otwierała się nadzieja, że Francya kosztem Niemiec rozszerzy swoje granice. Fleury układał się co do zawarcia pokoju z cesarzem i chciał koniec położyć wszelkim zawikłaniom związanym z sprawą polskiego tronu.

Pokój między cesarzem niemieckim Karolem VI, a królem francuskim Ludwikiem XV doszedł do skutku w 1735 roku. Za zwycięstwa odniesione w wojnie, Francya kazała sobie oddać Lotaryngię. Drogo okupił więc cesarz swój związek z Saksonią i dotkliwie został ukarany za wmieszanie się w polską sprawę elekcyjną. Miał atoli tę znikomą pociechę, że Francya cofnęła kandydaturę Leszczyńskiego, uważając za rzecz niebezpieczną przedłużanie walki w celu zdobycia dlań berła. Hohenzollernowie bowiem mogli byli wmieszać się do zaburzeń, a któżby wówczas wymagania pruskie zaspokoić zdołał?

Z obawy więc przed nienasyconością dworu berlińskiego przyspieszył Fleury zawarcie traktatu z cesarstwem. Wzniecił tem roztropnem postąpieniem wielki gniew w królu pruskim, który czuł się bezsilnym wobec dokonanego wypadku. Nie udało się ani Kurlandyi, ani Prus Zachodnich zagrabić. Fryderyk Wilhelm złorzeczył, lecz musiał pogodzić się z losem.

Z polskiej strony należy się uznanie kardynałowi, że prowadził wojnę za Leszczyńskiego, dopóki tylko ogólne stosunki polityczne dozwalały. Uczynił ogromną przysługę polskiemu narodowi, że przestał przeciw Augustowi III-ciemu występować z chwilą, w której Hohenzollernowie zaczęli ujawniać żądze zaborcze. Poświęcił wprawdzie Leszczyńskiego, lecz zachował Polsce obszerny szmat ziemi przylegającej do Bałtyku.

Leszczyński zrzekł się pretensyi do tronu w 1736 roku.

---

*Brzydka panna rzadko zrozumie, czemu ludzie mówią, że mężczyźni to bałamuci.*

* * *

*Kobieta napisawszy list o dziesięciu stronnicach, dodaje w końcu „post scriptum“ o co jej się właściwie rozchodzi.*



Michalina Chełmońska.

## *Dawne dzieje.*

*Dzieje dawne a czarowne*
*Synaczkowi matuś czyta,*
*W jasnowłosej małej główce*
*Jakaś myśl promienna świta.*

*Znalazł gniazdo Lech w gęstwinie*
*W niem trzepocą się orlęta —*
*Wstaje Gniezno, Gdańsk, Kruszwica*
*Hej, ty nasza ziemio święta!*

*Słucha — Krak buduje Kraków,*
*Cudna Wanda w Wiśle ginie...*
*Skrzą się oczy ciekawością*
*Wsłuchanemu w baśń chłopczynie.*

*O tym królu Mieszku Pierwszym,*
*Synaczkowi matuś czyta —*
*W lasach burzą już bałwany,*
*Chrystusowa wiara świta.*

*Oto wstaje, jakby żywy*
*Król Bolesław przed oczyma,*
*Staje chrobry i zwycięski*
*Szczerbiec sławny w dłoni trzyma.*

*W jasny wieczór ten majowy*
*Lecą zgasłe dawne echa —*
*Patrzy jasna, a męczeńska*
*Z mgły świętego twarz Wojciecha.*

*Słucha synek — matuś czyta —*
*Sławne dzieje — Jagiellony,*
*Myśl potężna, księgi mądre,*
*Purpurowe możne trony.*

*Grunwald — czarnych mnichów klęska*
*A Jadwiga dobra, cicha —*
*Z Tatarem bitwa zwycięska,*
*Polska swobodnie oddycha...*

*Ten poeta z Czarnolasu,*
*A Urszulka — śpiewne ptaszę —*
*I Kopernik wielki, sławny...*
*Hej, wy świetne dzieje nasze!...*

*Sejm w Lublinie — Polska z Litwą*
*Połączyły bratnie dłonie — —*
*Wśród zwycięskich bojów krwawych*
*Batorego gwiazda płonie...*

*Kończy matuś opowieści —*
*Patrzą chłopca w dal oczęta,*
*A przez główkę myśl przelata,*
*Hej, ty ziemio nasza święta!...*

---

*Mężczyzna zdaje się że zna doskonale kobiety wtenczas właśnie, kiedy je zna najmniej.*

* * *

*Żonaci mężczyźni wyobrażają sobie, że niebo, to miejsce, gdzie nigdy nie czyszczą mieszkania.*



## Jej pierwsza balowa sukienka.

(Betsaba).

— Mateczko, czy ja i w tym roku nie otrzymam po raz pierwszy balowej sukienki? mej pierwszej balowej sukienki? Czy i teraz nie będę po raz pierwszy na balu? — Delikatna postać młodziutkiej dziewczyny zasunięta głęboko w wielkim fotelu, stojącym przy oknie pochyla się pieszczotliwie ku starszej osobie przy niej stojącej. Przezroczyste rączki składają się błagalnie, jak do modlitwy, leciuchny odblask rumieńca występuje na matowo-blade, wymizerowane, tchnieniem śmierci owiane oblicze. — Już tylko dwa tygodnie do balu u wujostwa; o mateczko, pozwól mi być na tym balu. Czuję się przecież dość silną i zdrową. I całą siłą woli pokonując słabość stara się podnieść i stanąć. — Przelękniona matka chwyta ją w ramiona i troskliwie usadza napowrót w fotelu.

— Bądź rozsądną, Ireno, nie jesteś przecie dość silną, siedź spokojnie. Lekarz musi zaraz nadejść, to go zapytam, może pozwoli...

— A ja tak gorąco będę go prosiła. — Irena pochyla główkę i pieszczotliwie przyciska usta do stojących na oknie, świeżo zakwitłych hyacentów.

...Nie pytaj! nie proś! — wołają kwiatki potrząsając melancholijnie błękitnemi, filigranowemi dzwoneczkami...

Tymczasem pojazd lekarza zatrzymuje się przed domem. Irena poczyna drżeć na całem ciele, małe, gorące plamki zapalają się pod oczyma; błagalnie patrzy w oczy matki.

Lekarz ukazuje się we drzwiach. Surowy, nieprzystępny, zimny jak stal, zamknięty pancerzem lodowatej powagi przeciw wszelkiemu miękciejszemu uczuciu. Ale przecież i on jest człowiekiem, i w jego piersi bije serce ludzkie. Lekko pochyliwszy głowę słucha sprawozdania z przebiegu choroby, liczy uderzenia pulsu pacyentki, doświadczonem okiem bada ślady zniszczenia, jakie poczyniła choroba na tem młodem, niewinnem obliczu. Potem zmienia coś w ostatniej recepcie, życzy w zwykły swój, lakoniczny sposób polepszenia i lekko skłoniwszy się, odchodzi. Wobec tej zimnej, imponującej powagi, Irenie zabrakło odwagi, by wypowiedzieć swe pragnienie, pragnienie, które wibrowało wszystkiemi tętnami jej duchowej i cielesnej istoty — pragnienie uczestniczenia w balu u wujostwa. Westchnienie podobne łkaniu wydziera się z jej schorzałej piersi, oczy mgłą się przesłaniają. Nie widzi już nic, ani swych drogich, ukochanych hyacentów, które jak słodkie główki aniołków niebieskiemi oczkami patrzą w jej również modre źrenice, ani jasnego słońca, które złocistemi blaskami płonie na tle zimowego nieba, niby złudnemi obietnicami szczęścia wabiąc do rozkoszy.

Matka przeprowadziła doktora aż na kurytarz, a teraz wraca do chorej. Jej oczy noszą jeszcze ślady szybko otartych łez, dłonie zaciśnięte kurczowo.

Irena zdaje się jej nie widzieć. Obojętna na wszystko siedzi tam w fotelu zgnębiona, smutna, w cichej rozpaczy.

Ale usta matki łagodnie, słodko dotykają jej czoła.

— Moje dziecię, twoje życzenie pozostanie spełnionem. Będziesz na balu; dostaniesz wkrótce twą pierwszą balową sukienkę — wkrótce — bardzo wkrótce.

Irena wydaje lekki okrzyk radości. Głos jej nieco przez chorobę przytłumiony, brzmi teraz pełniej i dźwięczniej, coś, jakby srebrny dzwonek przy ołtarzu. — Moją pierwszą balową sukienkę! Mamo! mamo! ach, jakaż ja szczęśliwa! Więc mogę być na balu? Będę mogła tańczyć, bawić się?

Matka w milczeniu skinęła głową.

Stojące na oknie hyacenty poruszyły się lekko, jakby dotknięte niewidzialną ręką i wionęły ku Irenie słodkiem, odurzającem tchnieniem, a woń ich była teraz tak silną, przenikającą, prawie ostrą, miała w sobie coś jakby przestrogi, prawie groźby....

— O, mateczko, teraz czuję się zupełnie zdrową. Czemużeście mię tak długo trzymali, jak w więzieniu? To tylko jedynie było przyczyną mej choroby, tak, tylko to. I zwodniczy odblysk zdrowia rozpromienia powoli przezroczyste, chorobą zmęczone rysy, usteczka zabarwiają się krasą polnej róży; a gwarzą one i śmieją się teraz tak wesoło, tak swobodnie.

— Nie prawda, mateczko, wszak dzisiaj jeszcze pojedziesz do miasta i przywieziesz mi materyi na sukienkę. Na moją pierwszą balową sukienkę! Boże, jakże to brzmi rozkosznie, upajająco! Marynia, Zosia i Helcia już dawno zdarły swe balowe trzewiczki, a ja jeszcze dotąd nie widziałam balu. Ale teraz to sobie powetuję! Jestem przecież zdrowa.

Rączka Ireny gładzi miłośnie swe ukochane hyacenty. — Jaki kolor mam wybrać na moją pierwszą balową sukienkę? Czy czerwony, jak purpurowe róże? czy błękitny, w którym mię tak lubisz mateczko?

— Weź błękitny, kochanie, tak błękitny.

— Jasno lila jest także piękny, jak polne fiołki, albo żółty, jak złociste narcyzy.

— Więc wybiorę ci jasno-lila moje serce.

Irena głębiej odetchnęła, bo przydługa nieco rozmowa zmęczyła ją. — Jeszcze się namyślimy, mateczko. Teraz zjedzmy obiad, potem się prześpiemy cokolwiek. Ach, jak dobrze i miło będzie mi się dzisiaj spało! A — gdy się obudzimy, to ci powiem, mateczko, jaki kolor wybiorę na mój pierwszy bal.

O czwartej godzinie Irena podnosi się z posłania z dziwnym jakimś błyskiem w szeroko rozwartych źrenicach.

— Mamo! ach mamo! — woła i tuląc główkę do piersi swej ukochanej mateczki, zwierza jej się w tajemniczym szepcie, jak dziwnie piękny sen miała przed chwilą. Widziała wielką, w światłach płonącą salę balową, której ściany stanowiły ogromne, bardzo szerokie zwierciadła, a w każdem z tych zwierciadeł siebie samą w białej jak śnieg sukni, przepasaną białą atłasową szarfą z wiankiem białych róż na głowie.

Bardzo wiele gości balowych zbliżało się do niej, otoczyło wieńcem, i Irena ukryła twarzyczkę na piersi matki — i znajomi także! — Naraz zarumieniły się moje białe kwiateczki, poczęły się stawać co raz czerwieńsze, co raz ciemniejsze — aż się stały wspaniałemi purpurowemi różami. — Ach, mateczko, ja wezmę białą sukienkę na mój pierwszy bal, tak, białą, jak świeżo spadły śnieg, wszystko białe, tak, białe i białe róże na głowę.

Matka odwraca głowę. — Jak chcesz, moje dziecię. — W głębi jej duszy zadźwięczały słowa lekarza wypowiedziane wtedy z wielką powagą:

— Niczego jej nie odmawiać, niczego.

Kurczowe drżenie przebiega wszystkie członki biednej matki, gdy się zabiera do wyjścia. Irena pozostaje sama; siedzi jak w febrze, pełna gorączkowego oczekiwania; od czasu do czasu drżenie przebiega jej członki, oczy utkwiła uporczywie w najdalszy punkt śniegiem ubielonej ulicy, jak gdyby cudem jakim w przeciągu pół godziny matka powrócić już mogła z jej balową sukienką, z jej pierwszą balową sukienką. W końcu zagłębia się w fotelu, zamyka powieki i poddaje się błogim marzeniom. Przed oczyma jej duszy staje wyniosła postać młodego człowieka; ciemne o złotym odbłysku oczy patrzą na nią tak szczerze, tak serdecznie, a niski tenorowy głos mówi do niej tak słodko, prawie błagalnie: „Ale na przyszłą zimę będziesz pani na balu, nieprawdaż, panno Ireno? A wtedy darujesz mi pani pierwszego walca i drugiego, i trzeciego, także i kotyliona.... A ja dam pani najpiękniejszy bukiet, a pani dasz mi może mały, malutki order.“



**Królowa balu z wodzirejem.**

Irena odetchnęła głęboko, bo nadmiar szczęścia pierś jej rozsadza i tamuje oddech. — To wszystko ma się teraz stać rzeczywistością, jasną,- szczerą rzeczywistością. Na balu u wujostwa musi on przecież być sławnego profesora astronomii asystent i prawa ręka.

— Astronom — jakiś to piękny, wzniosły zawód. Patrzeć zawsze tylko w gwiazdy ,być bliżej Boga i Jego cudów, aniżeli reszta ludzi....

Marzenia dziewczęcia stają się co raz niewyraźniejsze, co raz mniej pochwytne. Popada w jakiś stan hallucynacyi. Gwiazdy poczynają padać z nieba, padają co raz szybciej, co raz gęściej i oblewają ją srebrną światłością, niby aureolą, a ona stoi w swej jasnej szacie, jakoby w śnieżnym obłoku i uśmiecha się błogo pod spojrzeniem dwojga ciemnych o złotym odblasku oczu.

— Moja sukienka, moja biała sukienka — szepce na pół sennie zbudzona lekkim szelestem. Matka stoi przed nią trzymając kilka kartonów.

— Ireno, twoja sukienka.

Dziewczę zadrżało. Moja sukienka! moja biała sukienka! — woła w uniesieniu. — Jaka piękna! Biała, jak świeżo rozwinięty pierwszy kwiatek wiosny, przezroczysta i powiewna jak mgła, a tak lekka, że zdaje się nie ważyć nic na podkładzie delikatnego białego jedwabiu. Tu oto rękawiczki, szarfa i atłasowe buciki; a jutro dostaniesz wieniec z róż białych. Wszystko białe, białe.

Irena ciśnie do serca lube przedmioty. Dwie jasne łzy perlą się na jej długich rzęsach i spadają na miękką tkaninę, która jak lekki obłoczek lśni na jej kolanach. W tkliwem rozrzewnieniu okrywa pocałunkami ręce swej dobrej, ukochanej mateczki.

— Moja sukienka, moja pierwsza balowa sukienka — powtarza co chwila i pod wpływem swej ogromnej radości, swej jeszcze ogromniejszej nadziei zdaje się rzeczywiście powracać do zdrowia.

Co chwila podchodzi do swej białej sukienki, pieści delikatnem, leciuchnem dotknięciem, jak coś bardzo ukochanego i drogiego.

Wieczorem, gdy się spać położy musi ją mateczka położyć przy jej łóżku, bo ona i podczas snu musi ją mieć blisko siebie, bo w swe senne marzenia chce zabrać czar jej wspomnienia.

* * *



**Mazur.**

Wreszcie nadszedł dzień z taką tęsknotą oczekiwany. Irena co chwila spogląda na zegar, liczy godziny i minuty. Jak też długo słońce świeci dzisiaj na niebie. Zdaje się, jakoby wcale zajść nie chciało. A przecież i ono ma swoje potrzeby! — Dziewczę czuje się zdrowem i silnem jak nigdy. W serce matki wstępuje nadzieja, gdy patrzy na swe piękne dziecko. Stoi teraz przed zwierciadłem lekka, powiewna postać, owiana obłokiem swej śnieżnej szaty, wieńcem białych róż na jasnych, bujnych włosach. Królowa zimy w szacie uwianej ze śniegu, z dyademem lodowym nad czołem — znakiem swej godności....

Irena w ostatnich dniach stała się jakoś pełniejszą, modre oczy nie leżą już tak głęboko w swych jamach. Ale słodkie oblicze jest tak białe, jak jej szata, białe, ach tak białe..

— Moja pierwsza balowa sukienka — mówi dziewczę prawie uroczyście i cieniuchnemi paluszkami przesuwa po lekko uginającej się pod tem pieszczotliwem dotknięciem tkaninie.

A potem sen o sali zwierciadlanej i — o — znajomych, staje się rzeczywistością. Kształtna, bujną falą ciemnych włosów pokryta głowa skłania się przed Ireną. Dwoje ciemnych o złotym odbłysku oczu patrzy na nią tak szczerze, tak wdzięcznie, tak serdecznie, że jej serce w chorej piersi zadrżało radosnem wzruszeniem i uderza teraz przyspieszonem tempem, a uderza mocniej i głośniej, aniżeli kiedykolwiek.

Z błogim uśmiechem składa rączkę na ramieniu tajemnie ukochanego. Zabrzmiały fanfary — pary stają do szeregu, który długim, nieskończenie długim sznurem ciągnie się przez rzęsisto oświetlone salony, a potem przez małe, — o przyćmionych światłach, zaciszne gniazdeczko, gdzie w przysłonionych kotarami kącikach w gaju myrtów i drzew pomarańczowych czekają rozkoszne kozetki mile zapraszając do poufnych gawędek, a w pośrodku długa, szkarłatnem suknem pokryta otomanka.

— Tutaj wypoczniemy po tańcu i pogadamy, panno Ireno. Pragnę panią o coś zapytać, coś jej powiedzieć — zabrzmiało nagle w uszach Ireny.

Poruszyła ustami, ale nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku, tylko błękitne oczy zatopiły się głębiej w ciemnych, o złotym odblasku źrenicach. I idą dalej w takt muzyki z drugimi, ale ona nie widzi nic, nie słyszy nic, idzie jak we śnie jakimś niepojętym, jak zahipnotyzowana, w czar szczęścia zaklęta. Wśród ogłuszających dźwięków muzyki, wśród olśniewających blasków tysiąca świateł, tak jej dobrze, — tak swobodnie, — tak lekko jakoś, jakby była duchem. Niby w śnie jakimś cudnym, nieziemskim poseła uśmiech swej mateczce, która z lękliwą troskliwością goni okiem swoje piękne blade dziecię. Teraz rozprysnął się wąż błyszczący, który stworzyły pary godowe. Zabrzmiały pierwsze dźwięki walca: „Róże z południa“ rozlatują się na wszystkie strony i nowe pary występują, poczynają wirować. Irena wsparta na ramieniu swego tancerza, lekka jak powietrze, zdaje się płynąć po nad ziemią unoszona obłokiem swej białej szaty. Spragnionem okiem chwyta blask i świetność sali godowej, jakby cały przepych z jego rozkoszą wchłonąć w siebie chciała. A wielkie zwierciadła oddają jej ze wszystkich stron jej własny obraz — jej postać białą — tak białą.

Błogi, niebiański uśmiech zakwita na jej usteczkach, a modre źrenice błyszczą młodemu astronomowi piękniej, aniżeli wszystkie gwiazdy na sklepieniu — i słodkie, niewypowiedzianie słodkie uczucie łączy te dwie czyste dusze pośród wonnej atmosfery sali godowej, pośród czarujących dźwięków orkiestry. — — —

Ale zbytek światła poczyna razić oczy Ireny, więc przymyka powieki. Jakieś drgania kurczowe przebiegają członki, serce uderza gwałtownem, przyspieszonem tętnem — raz — dwa — trzy — potem kilka słabszych uderzeń, — i bić przestaje. — Delikatną aureolą białych róż otoczona główka pochyla się na dół, z piersi ulatuje lekkie westchnienie, cała postać chwiać się poczyna. Więc młody astronom porywa ukochaną w oba ramiona i unosi w powietrzu, a myśląc, że to tylko omdlenie, szepce pieszczotliwie jej słodkie imię, by ją głosem miłości zbudzić z tego letargu — co raz głośniej, co raz rozpaczliwiej. Lecz daremnie. Już ich ona usłyszeć nie może. — Głos z tego świata nie przeniknie do przestrzeni niepochwytnych... Już jej nie ma... Jasna biała lilia w pierwszym swym rozkwicie, gdy słońce miłości owiało ją swem tchnieniem, złamana niebaczną dłonią — to snem śmiertelnym ujęta Irena.

I wiele rąk unosi ją z sali balowej do przyległej komnatki, do tego miłego gniazdeczka, gdzie światła płoną przyćmione, i składają na szkarłatnem suknem pokrytej otomance. Suche, nieruchome oczy wpiła matka w martwe zwłoki swego dziecka i nie wie, nie pojmuje, co to się stało. Zwolna, nieśmiało poczynają się zbliżać goście balowi, potem wszystko ciśnie się tłumnie, wszyscy znoszą jej pełne dłonie kwiatów, wieńce balowe padają na Irenę, całe pęki róż padają na nią. I leży tam pod całunem kwiecia tak spokojna, tak biała z uśmiechem ziemskiej i niebiańskiej szczęśliwości. A u stóp jej klęczy w cichej rozpaczy młody astronom. Pyszne purpurowe róże włożył w martwe dłonie ukochanej, a pytanie, które jej miał uczynić w tem gniazdeczku o przyćmionych światłach, powtarza jej teraz uparcie.

---

*Mężczyźni wtenczas porzucają złe nałogi, kiedy te im się sprzykrzą.*

* * *

*Filozofia dopomaga niejednemu do cierpliwego znoszenia kajdan małżeńskich.*

* * *

*Wszyscyście skorzy do pozowania na reformatorów, ale nikt z nas nie chce zacząć od siebie.*

* * *

*Największą potrzebą w życiu kobiety jest miłość.*

Narzeczeni.



# Dział kobiecy.

„Nie mam czasu.“

Codziennie kilkakrotnie odbija się o nasze uszy to zdanie we wszystkich odmianach: „nie mam czasu, nie miałam czasu, nie będę miała czasu“. Tak, każdego dnia używamy tej wymówki dla usprawiedliwienia się lub wymówienia od jakiegoś niemiłego czasem zadania. Ach jakże często nieraz żałujemy później, że na to lub na owo „nie mieliśmy czasu“.

Żona dla męża i odwrotnie, powinni mieć czas; — niestety często dzieje się przeciwnie i niejedno małżeństwo przez to stało się nieszczęśliwem. Kobieta znajdzie zawsze czas na tualetę, fryzowanie się, staje nieraz godzinami przed zwierciadłem, na wizyty, wyjazdy do miasta, itd., a żadnej wolnej godziny nie ma, by z mężem pomówić o domowych sprawach, o dzieciach itd. Taka nie ma również czasu dla dzieci, rosną biedne pozostawione sobie samym i złym przykadom po ulicach. Ileż to razy zdarza się, że dziecko przyjdzie do matki z jakiem pytaniem, z prośbą o pomoc w zadaniu szkolnem, na co usłyszy odpowiedź: „daj mi pokój, nie mam czasu“; — a może właśnie przez dobrą odpowiedź matki, dziecko to uniknęłoby złej marki w szkole lub w zachowaniu, a tymczasem mama, która nie „miała czasu“ odpowiedzieć dziecku, miała czas, by ze cztery godziny spędzić na obchodzeniu sklepów i oglądaniu wystaw.

Niejeden ojciec rodziny, nielepiej postępuje. Zmuszony przebywać wiele godzin za domem, wolny czas woli przepędzać na różnych bezmyślnych rozrywkach, a dla swoich nigdy „nie ma czasu“; gorżko to odczuwają żony i dzieci! A on! jakże ciężko odczuć może, że nie miał czasu, ażeby niejednokrotnie zapobiedz może jakiemu nieszczęściu...

Pani domu, chociażby miała bardzo wiele zajęcia w domu, powinna znaleźć chociaż jednę godzinę w ciągu dnia, w której mogłaby się poświęcić „lekturze“ wszak i duch potrzebuje pożywienia. Jeśli nie ma czasu na czytanie książek, to niech przynajmniej czyta jaki pożyteczny tygodnik illustrowany, w którym

znaleść można zawsze zajmujące powieści, przeróżne artykuły o bieżących sprawach świata i t. d.

Znam panie, które same piorą, prasują, gotują, dom czyszczą, oprócz tego szyją same wszystko nietylko dla siebie i dzieci, ale i dla drugich — a jednak mają czas na spełnianie miłosiernych uczynków i są zawsze wesołe, miłe, idealne żony i matki, z ust których nie słyszałam: ach jak zmęczona jestem! lub, nie mam czasu!

Mają czas na wszystko, po skończonej pracy ubierają siebie i dzieci w suknie uszyte i uprane własnemi rękoma i — z dziećmi i mężem idą na przechadzkę.

Tak, tak, nieraz, gdy nie bardzo przyjemnej czynności uniknąć chcemy, mówimy „nie mam czasu“, nieraz z przyzwyczajenia powtarzamy te trzy słówka w czasie, gdy nic nie robimy, i nie myślimy, że nie czasu, ale chęci nie mamy! Panie i panowie — marnują tyle czasu, tyle cennych godzin, na niczem, — mówi się — o kochanych przyjaciołach, filozofuje! Ale na jakiś dobry uczynek dla bliźniego, na rozerwanie chorego, gdy się znajdzie sposobność, na pouczenie dzieci, czuwanie nad niemi, na to nie można znaleźć czasu... Wszak przy dobrej woli można na wszystko czas znaleźć!

I pamiętajmy, że dzieci nasze z nas przykład biorą, że dbać o to winniśmy, by i one nauczyły się mieć czas na wszystko, tak na naukę jak i na zabawy. Gdy tak drogiego czasu przeznaczonego na zajęcia lub spełnianie dobrych uczynków nie marnujemy, wówczas z lekkiem sumieniem i prawdziwą przyjemnością możemy oddać się rozrywkom stosownym i odpoczynkowi.



## OSZCZĘDNOŚĆ.

Wszyscy ludzie pragną szczęścia na świecie, ale nie wszyscy potrafią drogę sobie do niego utorować, a chociaż ono leży w ręku Boga, jednak w wielkiej części i od nas samych zależy. Uczciwość, praca i oszczędność, to ścieżki do niego prowadzące. Dziś pomówimy nieco o oszczędności.

Kto tę cnotę posiada, a wystrzega się zbytku, to jest, nie wydaje więcej nad konieczną potrzebę i wygodę, odmawia sobie wszystkiego, bez czego obejść się zawsze można. Oszczędność więc stoi między rozrzutnością, a skąpstwem. Kto nie szanuje zarobionych pieniędzy i sypie niemi pełną garścią jak plewą, równie jest nierozsądny, jak ten, co żałuje sobie na porządną odzież, zdrowe mieszkanie i pożywienie, na wsparcie bliźniego w potrzebie — choć sam posiada tyle pieniędzy, że jak to mówią, aż sypia na nich. Jedna i druga wada, tak z sobą sprzeczne, wiodą człowieka do złego. Rozrzutnik dogadza sobie zbytecznie, a słudze czasem zasług nie wypłaci; rzuca nieopatrznie groszem, aż wreszcie braknie mu go, więc pożycza od ludzi i nie oddaje: żyje przeto jak pasożyt, kosztem drugich. Skąpiec znów, prócz uszczerbku, który sobie czyni, bywa zimny i obojętny na nędzę drugiego, zapominając, że choć pieniądz szanować trzeba, nie powinien on być uważany za bożyszcze człowieka.

Oszczędność jest siostrą pracy. Praca wiedzie do mienia, oszczędność niem dobrze szafarzy. Sama praca nie zapewni nam dobrobytu, bo iluż widzimy ludzi zdrowych i pracowitych, którzy nie mają gosza na niezbędne potrzeby! A to dlatego, że nie umieją oszczędzać. Wielu jest robotników, co zarobek ładny uzyskawszy za tygodniową pracę, trwonią go zaraz na trunek, karty, papierosy lub inne zbytki. Tacy i po trzydziestu latach pracy nic mieć nie będą. Inni zarobią tyle co tamci, ale poprzestają na małych rozrywkach, a resztę składają do kasy, z czego po dwudziestu latach zbierze się taka suma, że mogą sobie warsztat założyć i mają starość zapewnioną.

Wobec tego, że nikt nie wie, jakie go koleje życia czekają, bo dziś może ciągnąć dobre zyski, a jutro mu ich braknie, ta przezorność w oszczędzaniu stanowi dla rzemieślnika lub robotnika ochronę od niedostatku, dozwala mu przetrwać bezrobocie lub chorobę, a w razie skonu umiera w błogiej nadziei, że wypełnił wiernie obowiązki, co daje mu pociechę, że żony i dzieci bez środków do życia nie pozostawi. Ten zaś, co żyje z dnia na dzień, może każdej chwili popaść w nędzę i musi przyjmować takie warunki pracy, jakie mu inni narzucają, bo gdy mu chwilowo braknie zajęcia, nie może przeczekać i szukać sobie nowego, któreby byłoby mu odpowiedniem, lecz musi brać co mu dają i biedować. Cnota oszczędności daje nam niezależność, zapewnia poważanie u ludzi, spokój wewnętrzny i zadowolenie. Ona też stworzyła rozmaite zakłady publiczne, jak n. p. kasy oszczędności, towarzystwa zaliczkowe i zabezpieczenia na życie, na stare lata, kasy bratniej pomocy na wypadek choroby i tym podobne.

Wielcy myśliciele sławili różnemi słowami tę zaletę. Ignacy Krasicki powiedział: — „Co ci los ujmie, to oszczędność ci przyda“ — a Andrzej Zamojski rzekł: — „Pracuj tak, jakbyś miał umrzeć jutro“.

Pozostawili nam też nasi ojcowie przykazania oszczędności, zawarte w różnych przysłowiach:

„Oszczędnością i pracą, ludzie się bogacą“.

„Lepiej oszczędzić gotowego, niż szukać nowego“.

„Co masz zrobić jutro, to zrób dziś, a co masz dziś zjeść, schowaj na jutro“.



## OMYŁKA.

*(Z kroniki karnawałowej).*

*Porzuciwszy wiejskie lary,*
*Jaś, kawaler, piękny, jary,*
*Wjechał w piękny gród nasz stary,*
*Bo miał zamiar bardzo prawy,*
*Żonkę, niby cenne dary,*
*Pośród miejskiej znaleść wrzawy.*

*Bywał tu i owdzie — wszędy,*
*Przejrzał wszystkie świetne rzędy,*
*Aż królowę jedną balu*
*Ujrzał piękną w każdym calu, —*
*Łap! oświadczył się w te pędy,*
*W myśl: gdy pora, kuj, kowalu!*

*Sądził bowiem, że — przyjęty,*
*Z siebie słodki kwiat przynęty*
*Da jej, — ona serce czułe*
*Pierw, nim rękę da pod stułę —*
*I rzuciwszy miejskie męty,*
*Tak weń wsiąknie, jak w bibułę.*

*Tedy począł, rojąc plony,*
*Służbę, jako narzeczony:*
*Dnia pierwszego — bal publiczny,*
*Wiódł do rzeszy ją ulicznej,*
*Dnia drugiego — na salony,*
*Gdzie znów hasał z nią rój liczny.*

*Dnia trzeciego na redutę*
*Chciało dziewczę, czegoś strute...*
*Dnia czwartego — znów bal biały,*
*Musiał jechać osowiały*
*I pod walca ziewać nutę,*
*Gdy jej stopki wciąż fruwały.*

*Dnia piątego — znów to samo,*
*Ani wstrzymać chętki tamą, —*
*Z rąk wciąż do rąk (taka żyłka!)*
*Przechodziła, niby piłka...*
*On był dla niej tylko ramą,*
*W roli sługi — w roli pyłka.*

*Tak przetrwały dwa tygodnie*
*Z łaski panny — bardzo modnie, —*
*Gdy piętnasty nadszedł dzionek,*
*Odniósł zrana sam pierścionek,*
*Stanął przed nią bardzo godnie,*
*I tak wyrzekł bez osłonek:*

*— Piękna pani! żeś królową*
*Balów, stwierdzam honorowo,*
*Boś piękniejsza od widziadła...*
*Choć sposobność mi wypadła*
*Z życia salę mieć balową,*
*Lecz... omyłka tu się wkradła.*

*— Gdyż... prosiłem cię o rączkę,*
*A tymczasem mą gorączkę*
*Tak zawiodła losu wróżka,*
*Że mi w dziale padła... nóżka...*
*Przeto składam tu obrączkę...*
*Uniżony... pani... służka.*



# Gusła i guślarze.

„Przyszłość!“ — „wróżba przyszłych losów!“ Pomimowoli, mimo niedowiarstwa i zimnego rozsądku, na dźwięk tych wyrazów, każde serce żywiej nieco zakołatać musi, bądź troską i niepokojem, bądź żądzą i nadzieją szczęścia; albo też li tylko zwykłą ciekawością, która to wada naprzekor złym językom, nietylko kobietom, ale wszystkim świata mieszkańcom jest wrodzoną. Któż bo z nas nie pragnąłby choć raz w życiu uchylić rąbka tej zasłony, co nam kryje tajemnice jutra.

To pragnienie, ta ciekawość ogólna, jest właśnie przyczyną, iż wiara w zabobony, wróżby, przeczucia i gusła tak długo przechowuje się u ludów, pomimo cywilizacyi i wzniosłych religijnych pojęć.

Ludy środkowej Europy skłonniejsze do chłodnej rozwagi, w życiu swem czynnem, w ciągłej walce o byt codzienny, otrząsnęły się łatwiej z dawnych przesądów, zarzuciły zwyczaje i gusła wpół pogańskie. A jednak jeśli zajdziemy do chat wieśniaczych, to znajdziemy jeszcze, tu i owdzie, liczne echa dawnych zabobonów i tej naiwnej wiary, która nas łączyła ze światem nadprzyrodzonym i pozwalała nam zajrzeć w przyszłość nieznaną.

W górach Styryi np. każde najzwyklejsze zdarzenie daje często sposobność do wróżb i przepowiedni przyszłości: nić przerwana w krosnach lub w kądzieli przepowiada śmierć ukochanej osoby albo niepowodzenie w zamysłach, iskry sypiące się z komina, gdy wicher ogień ku izbie zawróci, wróżą bogactwo tej osobie, na którą padną i t. p.

A ileż to u nas w Polsce podobnych wróżb i baśni, do których lud nasz silną przywiązuje wiarę, a których początku chyba w podaniach i przesądach na wschodzie po dziś dzień zachowanych, szukać musimy.

Najbujniej wszakże wróżbiarstwo kwitnie na wschodzie. Wschód bowiem był od wieków i jest dziś jeszcze ojczyzną wróżbiarzy i czarów, tajemniczych guseł i zabobonów.

Baśnie, legendy i wróżby, uzupełniają tu życie mieszkańców, stają się niejako niezbędnym pokarmem dla ognistej wyobraźni, której umysłowa nie zużyła praca. W spuściznie po starożytnych Egipcyanach, słynnych w sztuce wróżbiarstwa, odziedziczyli tę umiejętność Arabowie. Lud ten z dziecięcą naiwnością lubuje się w baśniach, marzy o cudach i czarach. Sam widok natury usposabia go do tego: pod skwarnem słońcem wschodniego nieba krew żywiej nabiega do skroni, w bezgranicznej przestrzeni pustyń myśl buja swebodnie i błąka się jak motyl, promieniami światła upojony.

Dla Araba, cały świat widomy dokoła, tak przestrzeń przejrzysta błękitu, jak i groźne skały pustyni, fale Nilu, starożytne gruzy i nawet zakątki własnego domostwa, zaludnione są złemi i dobremi duchami: „Dżinnami“. Dżinny są to istoty pośrednie między aniołami i ludźmi. Nie mają one krwi i ciała, są więc dla nas niewidzialne, dzielą jednak nasze mieszkania i zajęcia, mają swych władców, swe królestwo nadpowietrzne i mogą wpływać źle lub dobrze na losy nasze. Dlatego też Arabowie obawiają się obrazić czemkolwiek „dżinny“, lub wzbudzić ich niechęć. Zemsta ich może być straszną. To też często słyszeć można, jak Arabowie przy pracy jakiej lub zajęciu ręcznem powtarzają z cicha: *„Destur ya mu barakin“* (ustąpcie, o błogosławieni!)

Arabowie są przekonani, że istnieją ludzie, którzy przez długie posty, przez powtarzanie niektórych ustępów koranu, a szczególniej przez znajomość pewnych słów kabalistycznych, uzyskują władzę nad Dżinnami. Wtedy duchy te posłuszne, wyjawiają im przyszłość, uczą różnych czarów, dopomagają w znajdywaniu skarbów, wykryciu złodziei i t. p. Setki książek dawnych, znajdujemy w Egipcie, podających przepisy co do czarów i władzy nad „Dżinnami“. Oprócz modlitw, postów i wyrazów kabalistycznych podają te książki recepty na silne aromatyczne kadzidło, które przy każdem wywoływaniu duchów i przy innych czarach lub wróżbach użyte być musi. Kadzidło to, w którego skład wchodzą: aloes, benzoina, żywica i rozmaite aromatyczne zioła, działa odurzająco na nerwy, nie dziw więc, że osłabieni postami i bezsennością wróżbiarze, albo też osoby drażliwych nerwów, widzą istotnie widma i zaczynają fantazyować pod wpływem ostrego narkotycznego dymu.

Jednakże nie musi to być trudno osiągnąć związek z Dżinnami, gdyż widzimy w Egipcie niezliczoną ilość wróżbiarzy. Dniem i nocą spotykać ich można w ulicach Kairu. Szepcząc swe formułki i zaklęcia, w niezrozumiałym dla nas, dziś nieużywanym języku, ofiarują oni przechodniom swe usługi. Jedni czytają z gwiazd przyszłe losy i zdarzenia, drudzy, szczególniej kobiety wróżą z ręki i z pomocą drobnych muszelek; inni jeszcze ofiarują czarodziejskie leki przeciw urokom, środki niezawodne budzące miłość lub też idą o zakład, iż odgadną nasze myśli i w czarodziejskiem zwierciadle ukażą nam ukochaną lub oddaloną osobę. Zwierciadło takie jest istotnie najbardziej zajmującem ze wszystkich czarodziejskich sztuczek.

Kuglarz czyli wróżbita, zakreśla najpierw swą pałeczką czworobok lub koło i w pośrodku tegoż stawia małego chłopca, dziecię niewinne lat najwyżej 12-stu, dając mu w rękę kubek napełniony kawą lub wodą, w którą każe mu nieustannie patrzeć.

Po tych pierwszych przygotowaniach, rozpala kadzidło, w ten sposób, iż dym cały owiewa chłopca, którego oczy wkrótce gorączkowego nabierają blasku a ręka drżeć zaczyna pod wpływem narkotyku. Wtedy kuglarz chwyta chłopca za rękę i nie spuszczając go na chwilę z oczu, każe mu opowiadać co widzi w wodzie lub na dnie kubka, jaka postać mu się okazuje etc.

Odpowiedzi dziecka są zazwyczaj niejasne i jakby w gorączce powtarzane, ale wróżbita tłómaczy je i wykłada w swój sposób.

Byłoby istotnie ciekawem zbadać, jakich stuleci zabytkiem jest owa czarnoksięzka wiedza i literatura, i czy Arabowie przenieśli ją z Azyi nad brzegi Nilu, czy też odziedziczyli po starożytnych mieszkańcach Egiptu?

Jednakże tak jak trudno zbadać jakiego morza ziarnem jest perła, która z rąk do rąk w spuściźnie przechodzi, tak też trudno dociec początku owych tradycyj i baśni ludowych, co przekazywane z pokolenia na pokolenie, ocalały w powodzi wieków, lub przeniesione zostały z dalekich brzegów.

Dusza ludu przechowuje te wspomnienia minionych wieków, pomimo walk i przejść rozmaitych, tak jak łono ziemi pomimo burz i przewrotów, które jego powierzchnię przekształcają, zachowuje w głębi ślady dawnej wegetacyi i zgasłego przed wiekami życia.

## Kalendarzyk historyczny.

Dnia 30-go stycznia 1363 zjazd monarchów w Krakowie. — 1658 pobicie Tatarów u Sinych wód. — 1667 traktat andruszowski z Moskwą. — 1706 śmierć Maryi Kazimiry.

Dnia 31-go stycznia 1610 poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem wzywa na tron królewicza Władysława.— 1617 wyprawa Władysława na odzyskanie tronu moskiewskiego. — 1667 śmierć hetmana Jerzego Lubomirskiego. — 1676 sprowadzenie zwłok Jana Kazimierza do Krakowa.

Dnia 1-go lutego 1411 pokój z Krzyżakami w Toruniu. — 1676 pogrzeb Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego. — 1733 śmierć Augusta II.

Dnia 2-go lutego 1421 posłowie czescy zapraszają na tron Władysława Jagiełłę. — 1523 Zygmunt I. ustępuje część posagu Izabeli, matce Bony. — 1676 koronacya Jana Sobieskiego. — 1705 Szwedzi wchodzą do Częstochowy. — 1717 wojska saskie ustępują z Polski. — 1772 konfederaci barscy zdobywają Kraków.

Dnia 3-go lutego 1018 Bolesław W. zawiera traktat pokoju z Niemcami w Budyszynie. — 1280 pobicie Lwa, księcia ruskiego, pod Goślinem. — 1633 Władysław IV przybywa na koronacyę do Krakowa. — 1793 protestacya przeciw wkroczeniu Prusaków do Polski. — 1831 sejm uchwala formacyę legionów litewsko-ruskich.

Dnia 4-go lutego 1339 sąd na Krzyżaków w Inowrocławiu. — 1454 Prusacy oddają się pod opiekę Polski przeciw uciemiężeniu Krzyżaków. — 1633 pogrzeb Zygmunta III. — 1710 sejm w Warszawie po wypędzeniu Szwedów.

Dnia 5-go lutego 1189 synod w Krakowie. — 1657 uchwała sejmowa względem powiększenia wojska kwarcianego.

## Humor i satyra.

**Na wieczorku.**

Ja proszę pani, zawsze tak, jak zacznę walić hołubce, to aż się ściany trzęsą, a mnie to nic.,.

Praktyczna mama, siedząca obok:

— Przepraszam... kto panu buty robi?

* * *

**Tańczy tylko polkę.**

— Pan nie tańczy walca?

— Nie, pani dobrodziejko, tańczę tylko polkę, bo taki trzęsący taniec dobrze mi robi na żołądku — po kolacyi.

* * *

**Tańce „rewirowe.“**

— Cóż to, panna Ludwika nie tańczy kontredansa?

— E, nie proszę pana Andrzeja, ja lubię tylko tańce „rewirowe.“

* * *

**Nie umiała inaczej.**

Męża, nie bardzo inteligentnej kobiety, wzięto do wojska. Rozpacz jej nie ma granic, połączyli się bowiem z sobą niedawno, i życie im płynęło jak po różach. Pisuje więc do niego codziennie długie listy, skarży sie na swą dolę, w słowach niewyszukanych wypowiada mu jak bardzo go kocha.

Oto jeden z tych listów.

— Bolęsiu drogi, kocham cię tak bardzo, że kiedy widzę ubranie twoje wiszące na kołku w naszym pokoju, wzdycham ze łzami w oczach i myślę sobie, jakby to dobrze było, gdybyś ty tak blisko mnie wisiał.

## Łamigłówka kratkowa

**Nadesłała czytelniczka naszego pisma pani Anna Taczanowska z Copot.**



**Litery oznaczone liczbami 1—8 utworzą nazwę pamiętnej miejscowości z historyi polskiej.**

Znaczenie wyrazów:

1. Artystyczne wyroby sławnej fabryki francuskiej.
2. Znane zdrojowisko na Węgrzech.
3. Nazwa miesiąca.
4. Twierdza francuska.
5. Część Polski nad dolną Wisłą.
6. Góry w Azyi.
7. Rezydencya króla wysp Sandwichskich.
8. Jeden z naszych wynalazków komunikacyi lądem.

**Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 3-go lutego r. b. włącznie.**

**Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.**

**Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.**

**Rozwiązanie zagadek zamieszczonych w nr. 3-im:**

**I. Figla:**
**Ostrogi — ostrygi.**
**II. Szarady:**
**Lin — Nil.**

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 20-go stycznia włącznie następujące osoby:

**Z Poznania:** pp. Alojzy Wyszkowski, Bolesław Kurowski, Rozalia Pałczyńska, Janina Mrówczyńska, Zygmunt Krajewski, Ludwik Mańczak, Edmund Ruciński, Michał Gaerstedt, Józef i Fr. Kledecki, K. Lesicka.

**Z Poznańskiego:** pp. Marya Obarska, Janina Wesołowska i Jadwiga Scholtz z Wrześni (rozwiązanie wierszowane), Walery Gładysz z Gniezna, Ludwika Borucińska z Pleszewa, Alfons Przybyszewski z Ostrowa, Teodozya Tyrakowska z Leszna, Joanna Dąbek z Czarnkowa, Helena Salomon z Barcina (rozwiązanie wierszowane), Czesława i Konrad Poszwińscy z Pniew, Józefa Turowska ze Skoków, Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Helena Kornaszewska z Inowrocławia, W. Skibińska i St. Skibiński z Wolsztyna, Franciszka Jędrzejewska z Bydgoszczy, Kujawianka z pod Kruświcy, Baśka z Kujaw, Michał Kuśnierek z Chorynia, T. Bogacki z Chłapowa, J. Górski z Więzowna, Teodor Janiak z Komorza, Zofia Górczyńska z Wiecanowa, Antoni Kurtz z Sowińca.

**Z Prus Zachodnich:** pp. T. Grajewski ze Świecia, St. Balcerska ze Świecia, Elżbieta Nowacka z Sopot, Józef Ziółkowski z Unisławia, Władysław Czyżewski z Jaźwisk.

**Z Prus Wschodnich:** mała Al. Pokojewska, gorliwa czytelniczka z Frankenau.

**Ze Śląska:** pp. Matylda Knopik z Zabrza II, Wilhelm Nowak z Pstrązny, Berta Badura z Roździenia, Jan Warzecha z Wielkiego Dobrzynia, Jan Spyra z Świętochłowic, Tadeusz Kolanowski z Bielchowic.

**Z Galicyi:** pp. St. Chorąży z Wadowic, Władysław Lutyński i Świerkosz z Krakowa, Ludwik Teodorowicz z Pawlikowic, Gizela Ochenduszka z Liska, M. Bebak z Płazia, Stanisław Lubasz i Emilian Marmorowicz z Chrzanowa, Jerzy Szczurek (miejscowość nie podana), ks. Franciszek Baniewski i Jan Góralczyk z Wadowic, Tybarowicz z Cła, Anna Szwarce z Krystynowa, Władysław Kołomłocki z Czarnej Wsi, ks. Stanisław Sadowski z Winnik, Jan Tabaszewski z Podola, Władysław Żątowski z Rudy, ks. dr. Teofil Chciuk z Przemyśla, Wł. Dąbrowski z Cieszyna (Śląsk austryacki).

**Z obczyzny:** pp. Jan Wolniewicz z Bruckhausen i S. Buszczyński z Drezna.

Nagrodę otrzymali pp: Teodozya Tyrakowska z Leszna, Al. Pokojewska z Frankenau i ks. Stanisław Sadowski z Winnik.



4)

# Zaręczyny panny Feli.

Napisała **E... B...**

(Ciąg dalszy).

Pani Głocka choć trochę niegrzecznie potraktowana, nie wzięła tego zbyt do serca. Mąż jej pomimo, że często darzył ją podobnemi komplementami, koniec końców robił, co mu kazała. Do interesów nie mieszała się wcale, lecz w domu była samowładną panią, a wydanie córki za mąż, to przecież sprawa domowa. W kilku słowach porozumiały się z Felą. Nie trzeba było zważać na słowa pana Głockiego i na oświadczyny przyjaźnie odpowiedzieć, jeżeli zaś ojciec się uprze, na to jakoś trzeba będzie zaradzić.

Nadeszła chwila stanowcza, pani Mioska oświadczyła się od syna obojgu państwu Głockim. Matka Feli nadęła się okrutnie i uprzedzając odpowiedź męża, wycedziła cieniutko:

— I córka moja także czuje miłość, ja zaś cieszę się z połączenia z tak godną familią, jak hr. Mioskich — dodała z przyciskiem.

Pani Mioska usłyszawszy ten tytuł, spojrzała trochę zdziwiona; lecz nie była to chwila do protestacyi, więc rozrzewniona wyciągnęła rękę.

— I ja także bardzobym się cieszył, gdyby nie malutkie okoliczności, które mnie trochę nie wsmak — odparł Głocki, zawsze uśmiechnięty.

— Co za okoliczności? — spytała z godnością pani Mioska.

— Oto syn pani ma 300,000 długu, a majątek wart dobrze oceniając 270,000, zatem długów więcej, jak majątku.

— Tak nie jest — zawołała zirytowana, lecz panując nad sobą, matka konkurenta.

Miała to głębokie przekonanie, że Mioski nie tylko zadłużony, hulaka, gracz i utracyusz, ale nawet z powrozem u szyi, jeszczeby honor czynił panu Głockiemu, starając się o jego córkę.

Pan Głocki zaś innego był zdania. Gdyby Henryk zamiast tracić, dorabiał się majątku, to Bogiem a prawdą, aniby pytał, jakim sposobem. Bogactwo, wiadoma rzecz, zawsze czyste, jakieby tam były źródła, zkąd wypływa, lecz człowiek, co z niczego dobił się fortuny nie zawsze szlachetnie, nie mógł zrozumieć i przebaczyć utracyuszostwa, choć chciwość rozumiał i przebaczał.

— Tak nie jest — powtarzała pani Mioska — cyfra przesadzona. — Zresztą panna i jej matka nie pytały o długi, gdy oświadczyny Henryka przyjęły; pewna więc dobrego przyjęcia przyjechałam, a tu widzę jakaś zmiana usposobień!

— Janûre mon ami, ja prezydowałam tej miłości — potwierdziła p. Głocka.

Pan Głocki zrobił się mały i pokorny, przyciszył głos, starając się jak najprzyzwoiciej wyrażać.

— Ja zaś pani dobrodziejko, z daniem słowa zatrzymałem się, aż do wyjaśnienia pewnych okoliczności, i syn pani wiedział o tem, a więc nie zwodziłem państwa, zresztą prócz tych nieszczęsnych długów, nic nie mam przeciwko niemu; owszem chłopiec choć wody się napij, partya pod każdym względem dla mojej córki stosowna.

— Spodziewam się — ironicznie przerwała pani Mioska i z oczyma błyszczącemi od gniewu umilkła. Lekceważenie, jakie ją spotkało, odmowa tego człowieka, ubodła ją do żywego, wstrzymywała się, aby nie wypowiedzieć gorzkiej prawdy.

Pan Głocki ciągnął dalej pomaleńku, rozprawiając:

— Partya stosowna dla mojej córki, bo choć to my sobie ludzie prości, z przeproszeniem mojej magnifiki, ale nasza córka już jest arystokratka kompletna. Ona urodziła się wtedy, kiedyśmy wyszli na panów i od urodzenia na niej widać, że to pańskie dziecko. Starsze dzieci, co ich Bóg do chwały swojej zabrał, były takie symplaki, jak i my, bo jeszcze w biedzie się rodziły. Felcia to już i edukowana, i arystokratka całą gębą i potrzebuje mieć w świecie pozycyę arystokratki; żądam więc dla niej męża także arystokratę — to słowo powtarzał z naciskiem.

Pani Głocka miała ochotę przerwać przemowę męża i rzucić się w objęcia matki Henryka, lecz spostrzegła się, że mąż jej zalicza zamęźcie córki nie do spraw domowych, ale do interesów, a ponieważ do tych nie miała prawa mieszać się, więc milczała, tylko na znak zadowolenia odymała podbródek, a w przeciwnym razie kurczyła usta i wzdychała.

Pani Mioska milcząc, z ironicznym uśmiechem słuchała, myśląc, że nie wszystko stracone i czy pan Głocki nie da się wziąć na wędkę koligacyi; więc choć jej, kobiecie dobrego gustu, wstrętnem było chwalenie się swem dobrem urodzeniem i równanie się z tymi ludźmi, chwalącymi się swemi bogactwy, lecz dla miłości syna czegóż matka nie zrobi! i pani Mioska od chwili, gdy jej noga stanęła na tym progu, kroczyła z poświęcenia w poświęcenie. Westchnęła, ironię skryła w głąb serca, i rzekła poważnie i z godnością:

— Śmiesznością jest chwalenie się z rzeczą, o której wszyscy wiedzą, muszę jednak przypomnieć panu, że syn mój dałby córce pańskiej pozycyę, jakiej pan dla niej pragniesz, a mówiąc szczerze, nic lepszego nigdy nie znajdzie i znaleść nie może; ani nazwiska, ani koligacyi, ani stanowiska w towarzystwie prawdziwie dobrem, nikt wyższego jej nie da, bo wyższego niema, przy połączonym zaś majątku obojgu dom ich stanie się jednym ze znaczniejszych domów z towarzystwa.

— Wszystko to wiem pani dobrodziejko i dla tego tak mi żal puszczać z rąk dobrą okazyę uszczęśliwienia mego kochanego dziecka.

— A więc... — przerwała pani Mioska z serdecznym uśmiechem.

— Janûre — wystąpiła pani Głocka — muszę wszystko wyjawić. Te drogie dzieci nasze dały już sobie pocałunek pod mojemi skrzydłami, a gdy się odbyło pocałowanie, to musi dojść do skutku, bo inaczej dla kobiety jest to bardzo nie dobrze, i przy tem biedna nasza Felcia schudnie.

Pan Głocki gniewnie rzucił ramionami. — Zostaw, to nie twoja rzecz — mruknął do żony, a zwracając się do pani Mioskiej, rzekł:

— Na nieszczęście, syn pani utracyusz, krótko mówiąc: gra w karty...

— Zapewne, że gra; w towarzystwie wszyscy grają, cóż to znaczy!... jakich kilkadziesiąt wygranych lub przegranych.

— Kilkadziesiąt tysięcy, ja się tego boję, ale widzi pani tak mi się chce tego kochanego Henryka, iż gdybym był pewny, że się ustatkuje, więcej tracić nie będzie, to kto wie — i stary chytrze się uśmiechnął. Szybko, jak miał zwyczaj w każdym interesie, zresumował pro i contra i choć go łzy córki okrutnie bolały, obiecał sobie, że jej da księcia na pociechę, a Mioskiemu zdecydowany był odmówić, bawił się tylko ze swą ofiarą, jak kot z myszą, bo próżności jego pochlebiało, trzymać w gościnie tych państwa.

Pani Mioska przysunęła się bliżej.

— Szanowny panie, ja ręczę za niego. Młode piwko szumiało, to dobra krew, musi szumieć, takim był jego ojciec, a przecież nie zrujnował się. I on także już teraz inny, a cóż dopiero, gdy się ożeni, to się odmieni; ręczę, że długów robić nie będzie, przeciwnie majątek potroi.

— Cygan się świadczy swojemi dziećmi — dobrodusznie — odparł ojciec Feli — lecz ja pani dobrodziejko na tak słabą ewikcyę ani szczęścia mego dziecka, ani mojej pracy, mojej krwawicy nie dam. — Wstał pokorny słodki, jak baranek, ucałował rękę pani Mioskiej. — Szanuję i poważam panią dobrodziejkę, kocham pana Henryka, lecz choć z bólem serca odmówić muszę — przy ostatnich słowach twarz jego przybrała wyraz nieopisanej czułości.

Pani Mioska powstała pyszna i groźna.

— Nie mam co tu więcej robić, lecz pozwolicie państwo sobie prawdę powiedzieć. Odmowa pana jest rzeczą nie lojalną. Przyjmowaliście państwo mego syna jak najlepiej, panna mówiła mu, że go kocha, matka dała przyzwolenie. Syn mój sprowadził tu mnie, myśląc, że nie pozostaje, jak tylko podziękować, mnie, którą tak kocha, tak poważa, mnie, którą świat cały otacza takiemi względami, naraził teraz na trudy dziesięcio-milowej podróży końmi, a pan nie zważając na nic, na pozycyę moję i moję powagę — odmawiasz. Kto panu dał prawo postępować tak z ludźmi takimi, jak my? Wyobrażasz pan sobie, że majątek daje ci prawo do wszystkiego. Zdaje się panu, że natychmiast znajdziesz innego zięcia, mylisz się pan; któż z towarzystwa dotąd starał się o nią? A po tem, co się teraz stało, nikt się nie pospieszy, bo pańskie sposoby przyciągania, a potem odmawiania, wcale nie angażujące.

Pan Głocki byczy kark ugiął pod wybuchem gniewu pani, lecz się nie zląkł.

— Nie obiecywałem, nie obiecywałem, spowiadam się z duszy, z serca, podstępnie nie działam, a co tam dalej będzie, to jak Bóg da, przyszłość pokaże — i kłaniał się, i giął, szeroką ręką przygładzając wąsy, aby ukryć uśmiech zadowolonej próżności.

— Bądź pan łaskaw kazać mi konie zaprzęgać — sucho wyrzekła pani Mioska — chciałabym widzieć mego syna: biedny on na nic nie zważał, dla niego wszystko, co dotąd ceniliśmy, było niczem wobec uczucia, a takie rozczarowanie.

— Bóg da, że się pocieszy — odrzekł pan Głocki — lecz pani dobrodziejka niech raczy uwzględnić i moje pobudki, niech pani raczy ochłonąć.

Na te słowa pani Głocka, pogrążona w niemem osłupieniu, porwała się z miejsca.

— Może co słodkiego pani hrabina pozwoli, może sorbetu, może konfitur...

Pani Mioska podziękowała grzecznie i obojętnie; Głocki wyszedł, a poczciwa jego żona wybuchnęła głośnym płaczem.

— O moja droga pani hrabino!... on nas tyranizuje, oh smutku mój smutku — jęknęła, zapomniawszy z desperacyi, że to wcale ordynaryjny wykrzyknik, więc czemprędzej chustką usta zdusiła i pisnęła jak najcieniej: — O niestety moje niestety! W Bogu tylko nadzieja, że to się odmieni.

— Dla mnie w Bogu nadzieja, że syn mój zapomni prędko — odpowiedziała pani Mioska.

---

Gdy się to działo w salonie, Fela uprowadziwszy Henryka do ogrodu, i pewna, że nikt nie usłyszy, zapytała go wręcz:

— Dowiedziałam się, że pan masz ogromne długi, że pan lubisz grać w karty i jeszcze co innego lubisz?... czy to prawda?

— Gdybym tego innego nie lubił, tobym i pani nie kochał — odparł, śmiejąc się Henryk.

— No z tem mniejsza; co było, do mnie nie należy. Długi jednak należą, masz ich pan masę?

— Mam, cóż to dziwnego?... każdy ma.

— W oczach mego ojca, to grzech śmiertelny. Ja gotowam spłacić wszystkie, choć wiem, że ich więcej jak majątek wart, lecz nie mogę się oprzeć uczuciu, jakie mam dla pana.

Henryk obie rączki panny wycałował po tysiąc razy.

— Ale ojciec — ciągnęła dalej Fela — jest przeciwny, zapowiedział, że da panu harbuza.

— Co znowu — zerwał się Henryk.

— Ot tak, boi się, żebyś pan nie stracił całego majątku, a ja bez pozwolenia ojca nie zostanę żoną pana, bo cóżbyśmy bez majątku robili, nie jesteśmy głupio-romansową parą.

— O zupełnie nie, kochamy się realnie — wtrącił ironicznie Henryk. — Czemuż pani nie ostrzegła mnie pierwej, moja matka oświadczy się.

— To nic nie szkodzi. Mama tam ojca wstrzyma może, a jeśli ojciec uprze się, to trzeba jakoś inaczej radzić. To ten Mosiek tak nam usłużył, podowiadywał się o długach pana i ojcu doniósł.

— Ha, Mosiek, to on tym deus ex machina.

— Myślę, że się ojciec udobrucha. Proponuję panu przymierze zaczepno-odporne na takich warunkach: jeżeli pan da mi słowo, że grać przestanie, to ja będę z mojej strony przełamywać upór ojca. Będę płakać, gniewać się, stanę się prawdziwym katem, aż ojciec pozwoli.

— Słaba nadzieja. Co się tyczy gry, niech pani będzie spokojna, gram tyle, ile każdy, co szczególniejszej pasyi nie ma, gra w dobrem towarzystwie, bo taki jest zwyczaj.

Ten ostatni argument zamknął usta Feli. Nie było rzeczy, którejby nie tłumaczyły słowa: tak się robi w dobrem towarzystwie. O tem towarzystwie tworzyła sobie dzikie wyobrażenie, Henryk znał tę słabość, więc kłamał śmiało, bo grał szalenie. Chwilę milczeli oboje.

— Gdzie jest ten Mosiek, możebym się ja z nim sam rozmówił?

— Musi tu być.

— Chodźmy do domu.

— Cóż mu pan powiesz?

— Powiem, że osioł.

— Ostrożnie, to nie osioł tylko lis.

— Mam na niego taki kruczek, o którym on nie wie.

— Co za kruczek? — spytała ciekawie Fela.

(Ciąg dalszy nastąpi).



# WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

Przechodzę więc do wyświetlenia pierwszej zagadki. W jaki sposób Lupin, śmiertelnie ranny, mógł żyć przez czterdzieści dni, bez opieki, bez lekarstw, bez pokarmu, w głębi ciemnej nory?

Zacznijmy więc od początku. W czwartek, 16-go kwietnia, niespodzianie zaskoczony, w wykonaniu najśmielszego przedsięwzięcia, ucieka drogą koło ruin i pada, raniony kulą. Czołga się mozolnie, pada, to znów się podnosi, ożywiony nadzieją, że dojdzie do kaplicy. W kaplicy jest krypta, którą przypadkiem odkrył. Jeżeli się tamdotąd dostanie, jest ocalony. Z siłą energii dochodzi, tylko kilka metrów go dzieli od pewnego schronienia, gdy słyszy zbliżające się kroki. Nieprzyjaciel nadchodzi. Jest to panna de Saint-Véran.

Taki jest prolog, a właściwie pierwsza część dramatu.

Cóż zaszło między nimi? Tem łatwiej można odgadnąć, że ciąg dalszy tej awantury sam daje nam wskazówki. U nóg młodej dziewczyny spoczywa człowiek, wyczerpany, który w kilka minut ma być pochwycony. *Człowieka tego ona raniła.* Czyż wyda bezbronnego?

Jeżeli on jest mordercą Jana Daval, tak, niech się sprawiedliwości stanie zadość. Lecz w krótkich słowach ranny wyjawia prawdę prawnie popełnionego morderstwa przez jej wuja, pana de Gesvres.

Wierzy mu. Cóż ma więc czynić? Nikt ich nie widzi. Służący Wiktor pilnuje furtki. Drugi Wojciech, stojąc na balkonie stracił ich z oczu. *Czyż wyda człowieka, którego raniła?*

Uczucie litości, które wszystkie kobiety zrozumieją, owładnęło młodą dziewczyną. Według rady Arsena Lupin, opatruje ranę i podwięzuje swoją chustką, aby nie zostawić śladu krwi. Następnie kluczem danym jej przez niego, otwiera kaplicę, pomaga mu wejść. Zamyka, odchodzi. W tej chwili nadchodzi Wojciech.

Gdyby wtenczas zajrzano do kaplicy, można by go było pochwycić, gdyż przez kilka chwil nie mógł był odzyskać sił, aby unieść flisy i zejść schodami do krypty. Lecz przejrzenie kaplicy nastąpiło dopiero w sześć godzin później. Lupin jest więc ocalony, i ocalony przez kogo? przez tę, która byłaby go o włos zabiła.

Teraz więc, czy chce, lub nie chce, panna de Saint-Véran staje się jego wspólniczką. Jest zmuszona prowadzić dalej rozpoczęte dzieło, gdyż w przeciwnym razie ranny zginąłby w ukryciu, do którego dopomogła mu się schronić.

Obowiązek ten nie jest dla niej uciężliwy, zna bowiem wszelkie wybiegi i umie sobie doskonale radzić. Ona daje zły rysopis Arsena Lupin (proszę przypomnieć sobie sprzeczne zeznania kuzynek). Ona również odgaduje, nie wiem za pomocą jakich znaków, wspólnika w pseudo-woźnicy. Ona oznajmia mu nagłą potrzebę operacyi. Ona, bez wątpienia podkłada fałszywy kaszkiet. Ona również, jest autorką owej sławnej karteczki, w której jej osoba jest zagrożoną — po takim dowodzie, któż ją posądzi o współdziałanie?

— To ona również, w chwili gdy chciałem sędziemu powierzyć moje pierwsze spostrzeżenia, utrzymuje, że widziała mnie w lasku dnia poprzedniego, podsuwa panu Filleul podejrzenie, wskutek czego musiałem zamilknąć. Niebezpieczny to manewr, gdyż wzbudza we mnie podejrzenie co do jej osoby, lecz manewr niezawodny, aby zyskać na czasie, a mnie zamknąć usta.

I ona również, przez czterdzieści dni żywi Arsena Lupin, przynosi mu lekarstwa (można zapytać się aptekarza w Ouville, pokaże recepty, które robił dla panny de Saint-Véran). To ona w końcu, która go pielęgnuje, bandażuje, czuwa nad nim i go wyleczy.

Tak więc kończy się pierwsza, z dwóch zagadek. Arsen Lupin znalazł w bliskości, w zamku samym, pomoc, którą niezbędnie potrzebował, najpierw, aby nie być wykrytym, następnie, aby żyć.

Więc Arsen Lupin żyje. I teraz właśnie zachodzi druga zagadka, czyli drugi dramat w Ambrumésy. Dlaczego Lupin, będąc przy życiu i wolny, stanąwszy znowu na czele swojej bandy, możny i silny jak przedtem, dlaczego Lupin robi nadludzkie wysiłki, o które się co chwilę potykam, aby utrwalić wiarę w śmierć swoją?

Trzeba sobie uprzytomnić, że panna de Saint-Véran była bardzo piękną. Fotografie jej, które dzienniki zamieszczały po jej zniknięciu, dają słabe wyobrażenie o jej urodzie. Nastąpiło więc to, co musiało nastąpić. Lupin — który przez czterdzieści dni widywał tę piękną dziewczynę, który pragnął jej obecności, który wyczuwał jej urok i słodycz, który wchłaniał ciepło jej oddechu, gdy się nad nim pochyliła, otóż Lupin zakochał się w swojej pielęgnarce. Wdzięczność zmienia się niebawem w miłość, uwielbienie — w namiętność. Ona jest jego wybawieniem, lecz jest zarazem radością jego oczu, marzeniem samotnych godzin, jego jasnością, jego nadzieją, życiem jego.

Lupin szanuje ją, nie wyzyskuje jej poświęcenia, aby przez nią kierować bandą. To też wyczuwa się w tym czasie niepewne ruchy owej bandy. Lecz kocha ją bardzo, i gdy panna de Saint-Véran nie da się wzruszyć miłości, która ją obraża, gdy wizyty u niego stają się rzadsze, w miarę jak przychodzi do siebie, gdy odwiedziny te ustają zupełnie w chwili, gdy powrócił do zdrowia... zrozpaczony, odurzony boleścią, czyni straszne postanowienie. Wychodzi ze swego ukrycia, przygotowuje zamach, i 6-go czerwca, za pomocą swoich wspólników uprowadza młodą dziewczynę.

Lecz nie kończy się na porwaniu. Lupin nie chce, aby wszyscy o tem wiedzieli. Trzeba położyć kres wszelkim poszukiwaniom, wszelkim domysłom, nawet wszelkim nadziejom: panna de Saint-Véran uchodzić musi za umarłą. Morderstwo jest więc zmyślone, są nawet dowody podane. Dokonanie zbrodni jest niezaprzeczone. Zbrodnia skądinąd przewidziana, zapowiedziana przez wspólników, zbrodnia

popełniona, aby pomścić śmierć naczelnika. Wszyscy łatwo w to uwierzą.

Lecz nie starczy wiara, trzeba mieć niezbite dowody. Lupin przewiduje, że odgadnę okradzenie kaplicy, że odnajdę kryptę. Jeżeli krypta będzie pustą, wiara w śmierć jego pryśnie.

Krypta więc nie będzie pustą. Również śmierć panny de Saint-Véran będzie niepewną, jeżeli morze nie wyrzuci jej ciała.

*Więc morze wyrzuci ciało panny de Saint-Véran.*

Trudności niemożliwe do wykonania. Tak, dla każdego innego, ale nie dla Arsena Lupin...

Odgaduję więc okradzenie kaplicy, odnajduję kryptę, schodzę do schronienia Arsena Lupin. Jego ciało tam jest!

Wszyscy więc uwierzyli w jego śmierć. Tylko ja nie przypuszczałem na chwilę tej ewentualności (z początku przez intuicyę, następnie przez dowodzenie). Podpadło mi najpierw, że głaz kamienny był położony z nadzwyczajną dokładnością, tak, że za najlżejszem poruszeniem spadając, musiał koniecznie upaść na głowę i zmiażdżyć ją, tak, że jej rozpoznać nie było można.

W pół godziny później dowiaduję się, że ciało panny de Saint-Véran znaleziono na skałach, koło Dieppe, czyli ciało, które mienią być nieszczęśliwej ofiary, gdyż na jednej ręce zauważono bransoletkę podobną do tej, którą nosiła panna de Saint-Véran. Jest to bowiem jedyny znak, gdyż trup jest niemożliwy do rozpoznania.

Nad tymi wypadkami zastanawiam się i rozumiem. Kilka dni przedtem czytałem w jednym numerze „Vigie de Dieppe“ wiadomość, że jakieś małżeństwo z Ameryki odebrało sobie życie podczas pobytu w Envermeu i że tej samej nocy ciała ich znikły. Jadę więc do Envermeu. Wiadomość zgadza się z prawdą, co się zaś tyczy zniknięcia ciał, powiadają mi, że bracia nieszczęśliwych zabrali, po dokonaniu zwykłych badań.

Nie ma wątpliwości, że bracia ci nazywają się Arsen Lupin i Spółka.

Tak więc wiemy z jakiego powodu Lupin zmyślił morderstwo młodej dziewczyny, i dlaczego sam chciał uchodzić za umarłego. Kocha i nie chce, aby ktokolwiek o tem wiedział. Ażeby dojść do celu nie cofa się przed niczem, popełnia nie do uwierzenia podobną kradzież dwóch ciał, które potrzebuje do odegrania komedyi. Tak więc będzie miał spokój. Nikt nie dojdzie do prawdy, którą chce stłumić.

Nikt?... Są wprawdzie trzej przeciwnicy, którzy mogą powziąć pewne wątpliwości. Ganimard, którego oczekiwam, Sherlock Holmes, który co tylko wsiadał do dorożki, i ja, który byłem na miejscu. Grozi mu więc trojakie niebezpieczeństwo.

Lecz Lupin da sobie radę. Uprowadza Ganimard'a i Sherlocka Holmesa, sekretarzowi Brédoux każe załatwić się ze mną.

Jedna rzecz zostaje tylko ciemną. Dlaczego Brédoux działając z rozkazu Arsena Lupin, z taką wściekłością starał się odebrać dokument „Aiguille creuse“ (wydrążona igła)? Wiedzieli przecież, że odbierając go nie mogli wymazać z mojej pamięci tekstu pięciu linijek. Dla czego więc bali się, że rodzaj papieru lub jaki inny znak, mógłby dostarczyć jakichś wiadomości?

Pomijając tę sprawę, starałem się wyjawić prawdę afery w Ambrumésy. Powtarzam, że moje przypuszczenia odgrywają wielką rolę. Mam jednak nadzieję, że gdy wszystkie fakta będą dokładnie znane i zbadane, potwierdzą tylko moją hipotezę.“

Tak więc Izydor Beautrelet, zachwiany na chwilę zapowiedzianem porwaniem ojca, i zrezygnowawszy, w końcu nie mógł się zdecydować milczeć. Prawda była za piękną i za nadzwyczajną; dowody, które mógł dostarczyć były za logiczne i za przekonywujące. Cały świat czekał na jego wyjaśnienia. Więc powiedział.

Tego samego dnia, wieczorne dzienniki donosiły o porwaniu starego pana Beautrelet. Izydor został o tem zawiadomiony depeszą, o 3-ciej po południu.

Dla Izydora Beautrelet cios był bardzo bolesny. W gruncie rzeczy, publikując ten artykuł, nie wierzył w możność porwania. Wszelkie ostrożności bowiem były doskonale obmyślane. Przyjaciele jego w Cherbourgu, nie mieli tylko strzedz jego ojca, lecz mieli krok w krok za nim chodzić, nie puszczać go samego, nawet żaden list nie miał dojść jego rąk, któryby nie był wpierw przejrzany i otworzony. Nie było więc żadnego niebezpieczeństwa. Sądził więc, że Lupin, chcąc zyskać na czasie, starał się swego przeciwnika sparaliżować.

Cios więc był nieprzewidziany, a odczuł go tem boleśniej, że całe pół dnia musiał stracić bezczynnie. Jedna myśl go nieopuszczała: jechać tam jak najprędzej, przekonać się naocznie o całem zajściu i poczynić pierwsze kroki w celu odszukania ojca.

Wysłał więc telegram do Cherbourga. Koło ósmej był na dworcu Saint-Lazare, a w kilka minut pociąg unosił go w stronę morza.

Po godzinie dopiero, przeglądając dziennik wieczorny, który był kupił na bulwarze, przeczytał ów sławny list, w którym Arsen Lupin odpowiada na jego artykuł umieszczony rano.

„Panie Dyrektorze!

„Nie przeczę bynajmniej, że moja skromna osobistość, która w czasach więcej heroicznych zaginęłaby niepostrzeżona, uwydatnia się w naszej epoce miernoty. Lecz egzystuje pewna granica, poza którą nie wolno nikomu przekroczyć, pod karą niehonorowej niedyskrecyi. Jeżeli nie uszanujemy życia prywatnego, jakąż opiekę będzie miał obywatel?

„Co się zaś mnie tyczy, to niedyskrecyę tę już popełniono, powiedziano prawdę, nie robię więc żadnych trudności w dokompletowaniu tejże. Tak, panna de Saint-Véran żyje. Tak, kocham ją. Tak, mam to zmartwienie, że nie jestem kochany. Tak, śledztwo małego Izydora Beautrelet jest przedziwne co do ścisłości i dokładności. Tak, zgadzam się z nim we wszystkich punktach. Nie ma więc już tajemnicy. Nie ma więc zagadki. Więc cóż?...

„Ugodzony w najgłębsze tajniki mej duszy, krwawiącej jeszcze z zadanych ran najokrutniejszych, bo moralnych, proszę, aby nie wydawano na pastwę publiczności moich najświętszych uczuć i najskrytszych pragnień. Proszę o pokój, pokój, który jest mi potrzebny, abym uzyskał miłość panny de Saint-Véran, i aby zatrzeć w jej pamięci te tysiączne upokorzenia, które znosiła ze strony wuja i kuzynki — co nie było zaznaczone — jako uboga krewna. Panna de Saint-Véran zapomni tę nienawistną przeszłość. Wszystko, co tylko zapragnie, choćby najcudniejsze cacko, choćby najdrogocenniejszy skarb świata, rzucę jej pod stopy. Będzie szczęśliwą; będzie mnie kochała.

„Żeby więc dojść do tego celu, zaznaczam raz jeszcze, potrzebuję spokoju. Dlatego to składam broń, i niosę moim nieprzyjaciołom gałązkę oliwną — przestrzegając równocześnie, że odrzucenie mojej propozycyi mogłoby mieć dla nich najgorsze skutki.

„Jeszcze słów kilka dotyczących się pana Harlingtona. Pod tem nazwiskiem kryje się bardzo dobry chłopiec, sekretarz amerykańskiego miliardera Cooley, który miał zlecenie wykupić możliwie wszystkie cenne dzieła sztuki.

Nieszczęście chciało, że wpadł właśnie na mego przyjaciela Stefana de Vaudreix alias Arsena Lupin. Dowiedział się, że niejaki hrabia de Gesvres chce sprzedać cztery obrazy Rubensa, pod tym warunkiem, że będą zastąpione czterema kopiami, i że nikt o tej sprzedaży się nie dowie. Mój przyjaciel Vaudreix podjął się skłonić także pana de Gesvres do sprzedania kaplicy. Pertraktacye były prowadzone w najlepszej wierze ze strony mojego przyjaciela Vaudreix, a w największej dyskrecyi ze strony pana Harlingtona, aż do dnia, w którym obrazy i rzeźby przewiezione zostały w pewne miejsce, a pan Harlington znalazł się w więzieniu. Nie pozostaje więc nic innego, jak wypuścić na wolność niefortunnego Amerykanina, gdyż grał tylko rolę oszukanego; następnie zelżyć miliardera Cooley, gdyż obawiając się nieprzyjemności, nie upomniał się nawet o swego sekretarza; w końcu powinszować mojemu przyjacielowi Stefanowi Vaudreix, gdyż, chcąc ukarać moralność publiczną, zatrzyma te sto tysięcy franków, odebrane, jako zadatek, od niesympatycznego Cooleya.

„Wybacz pan, mój kochany dyrektorze — że tak długo zajmuję czas jego drogi i bądź przekonany o prawdziwości mojego szacunku.

Arsen Lupin.“

Izydor Beautrelet zastanawiał się również głęboko nad każdem słowem tego listu, jak nad dokumentem „Aiguille creuse.“ Doszedł bowiem do tego przekonania, że Lupin nic nie pisał, nic nie wyjawiał, bez koniecznej potrzeby, bez powodów, które wypadki następne wyświetlały dziś lub jutro.

Lecz jakiż powód zmusił go do napisania tego listu? Z jakiej tajemnej przyczyny przyznawał się do miłości nieodwzajemnionej? Czy tam trzeba szukać czegoś więcej, czy też może w wyjaśnieniu, tyczącem się pana Harlingtona, czy też między liniami trzeba szukać tego czegoś, nieopochwytnego?

Przez dwie godziny siedział Beautrelet w swoim przedziale trwożny i zatopiony w myślach. List ten wzbudzał w nim nieufność, tak wyglądał, jak gdyby dla niego był napisany, jak gdyby jego osobiście chciał wywieść w pole. Pierwszy raz owładnął nim strach, ponieważ nie zaczepiano go otwarcie. Myślał przytem o starym ojcu, uprowadzonym z jego winy, i zapytywał się z niepokojem, czy nie lepiej zaniechać tak nierównej walki?

Zniechęcenie to nie trwało długo. Wysiadłszy bowiem o szóstej rano z wagonu i pokrzepiwszy się krótkim snem, nabrał znowu wiary w siebie.

Na dworcu oczekiwał go Froberval z córeczką dwunastoletnią, urzędnik arsenału, który był przyjął starego Beautrelet w gościnę.

— I cóż? zapytał Beautrelet.

Poczciwiec zaczął narzekać, lecz Beautrelet przerwał mu, a pociągnąwszy go do poblizkiej restauracyi, kazał podać kawę i począł wypytywać, nie pozwalając mu odchodzić od przedmiotu.

— Ojciec mój nie został uprowadzony, nieprawda, to niemożliwe?

— Niemożliwe. A mimo to zniknął.

— Od kiedy?

— Nie wiemy dokładnie.

— Jakto?

— Nie wiemy. Gdy wczoraj rano o szóstej nie zeszedł, jak zwykle, otworzyłem drzwi. Już go nie było.

— A przedwczoraj był jeszcze?

— Tak. Przedwczoraj nie wychodził z pokoju. Czuł się trochę niezdrów, więc Karólka zaniosła mu śniadanie w południe i obiad o siódmej wieczorem.

— Więc zniknięcie jego nastąpiło między siódmą w wieczór przedwczoraj a szóstą rano wczoraj.

— Tak. podczas zeszłej nocy, tylko...

— Tylko?

— Tylko, że nocą nie można wyjść z arsenału.

— W takim razie nie wyszedł?

— Lecz go nie ma, gdyż z towarzyszami przeszukaliśmy cały arsenał.

— W takim razie wyszedł.

— Niemożliwe. Wszystkie wyjścia strzeżone. Beautrelet zamyślił się, następnie zapytał:

— Cóż dalej?

— Potem poszedłem zawiadomić komisarza.

— Przyszedł do pana?

— Tak i przeszukaliśmy jeszcze raz wszędzie, a gdy straciliśmy wszelką nadzieję odszukania, wtedy to telegrafowałem do pana.

— Czy w pokoju było łóżko rozebrane?

— Nie.

— Czy pokój był w nieładzie?

— Nie. Znalazłem jego fajkę na zwykłem miejscu, i książkę, którą czytał. Znalazłem nawet w książce tę oto fotografię pana.

— Pokaż pan.

Froberval podał mu fotografię. Beautrelet zadziwił się. Była to amatorska fotografia, na której poznał siebie z rękoma w kieszeni; za tło służył trawnik, w głębi widoczne drzewa i ruiny.

Froberval zauważył:

— To musi być ostatnie zdjęcie pana, któreś ojcu przysłał. Zobacz pan, na drugiej stronie jest nazwisko fotografa R. de Val. data... 3-go kwietnia i nazwisko miasta Lion... może to Lion-sur-Mer?

Izydor obrócił fotografię i przeczytał tę krótką notatkę własną jego ręką pisaną:

R. de Val. — 3. 4 — Lion.

Przez kilka minut panowała cisza, wreszcie rzekł:

— Nie pokazywał panu mój ojciec tej fotografii?

— Nie... i zdziwiłem się, gdy ją wczoraj zobaczyłem... gdyż często z nami mówił o panu!

Znowu milczenie, lecz tym razem dłuższe, Froberval szepnął:

— Mam zajęcie panie... moglibyśmy może iść do domu...

Zamilkł. Izydor nie spuszczał z oczu fotografii, oglądał ją na wszystkie strony. W końcu zapytał:

— Znajduje się może o jaką małą milkę od miasta jaka oberża Lion d'Or?

— Tak, tak, będzie mila.

— Na drodze do Valognes, nieprawda?

— Na drodze do Valognes, rzeczywiście.

— W takim razie przypuszczam, że w oberży tej zamieszkała banda Arsena Lupin. Stamtąd porozumieli się z moim ojcem.

— Co za myśl! Ojciec pański z nikim się nie widział, z nikim nie mówił.

— Nikogo nie widział, lecz użyli pośrednictwa.

— Jaki masz pan dowód?

— Tę fotografię.

— Przecież to pana?

— Tak moja, lecz ja jej ojcu nie dałem. Nie znałem jej nawet. Zdjęcie zostało dokonane bez mojej wiedzy, między ruinami w Ambrumésy, prawdopodobnie przez sekretarza Brédoux, który był wspólnikiem Arsena Lupin, jak to panu wiadomo.

— Więc?

— Więc fotografia ta służyła za paszport, dzięki której wzbudzili ufność w moim ojcu.

— Lecz któż, któż mógł ją przynieść?

— Tego już nie wiem, w każdym razie jasne, że ojciec mój wpadł w pułapkę.

Powiedziano mu, że jestem w okolicy, że chciałbym się z nim widzieć, i że mu naznaczam miejsce spotkania oberżę Lion-d'Or.

— Ależ panie, to głupstwo wszystko, skądże pan tak sądzisz?

— To jasne. Naśladując moje pismo oznaczyli dokładnie miejsce spotkania... Route de Valognes (droga do Valognes-) 3 kl. 400, oberża Lion. Ojciec mój poszedł więc na to spotkanie, i pochwycili go. To jasne.

— Dobrze, szepnął Froberval przygnębiony, dobrze.... niech tak będzie.... zajście to miało taki przebieg jak pan mówisz.... lecz, panie„ to nie wyjaśnia, w jaki sposób pan Beautrelet mógł wyjść nocą?

— Wyszedł za dnia, pocóż miał czekać nocy, aby iść na rendez-vous?

— Psiamać! jakże to możliwe, kiedy przedwczoraj przez cały dzień nie wychodził?

— Idź pan przekonać się jeszcze o tem, odnajdź pan tego człowieka, który przedwczoraj po południu był na odwachu.... Tylko pospiesz się pan, jeżeli mnie chcesz zastać.

— Pan wyjeżdżasz zaraz?

— Tak, następnym pociągiem.

— Jakto..., a śledztwo, kiedy pan rozpocznie?

— Moje śledztwo ukończone. Wiem prawie wszystko, co chciałem wiedzieć. Za godzinę opuszczam Cherbourg.

Froberval wstał. Spojrzał na Izydora Beautrelet przestraszonym wzrokiem, zawahał się na chwilę, wreszcie pochwycił kaszkiet i rzekł:

— Idziesz ze mną Karolinko?

— Niech zostanie, rzekł Beautrelet, potrzebuje jeszcze kilka wiadomości, które mi może udzielić, a potem pogadamy sobie trochę, znam ją przecież od dziecka.

Froberval odszedł. Zostali sami i długie zapanowało milczenie. Minuty uciekały, chłopiec przyszedł pobrać puste filiżanki i odszedł. Oczy młodzieńca spotkały się ze wzrokiem dziecka, wtenczas Beautrelet z największą słodyczą położył rękę na rączkach dziewczynki. Spojrzała na niego przestraszona, następnie chowając główkę w dłonie wybuchła płaczem.

Pozwolił jej się wypłakać, dopiero po niejakim czasie rzekł:

— Tyś to wszystko zrobiła, nieprawda? Tyś była pośredniczką? Ty zaniosłaś ojcu tę fotografię, przyznajesz się, nieprawda? I zmyśliłaś mówiąc, że przedwczoraj był jeszcze ojciec mój w pokoju, gdyż wiedziałaś dobrze, że go już nie było, bo ty pomogłaś mu wyjść z arsenału, nieprawda?...

Nie odpowiadała, ciągnął więc dalej:

— Dlaczego to zrobiłaś? Pewnie dano ci za tę przysługę pieniądze.... abyś sobie co kupiła.., jaką sukienkę....

Objął jej rączki od twarzy i uniósł główkę. Ujrzał biedną twarzyczkę załzawioną, niespokojną i bezgranicznie smutną.

— Już stało się, rzekł Beautrelet, nie ma o czem mówić. Nie pytam się wcale, w jaki sposób to uczyniłaś... Chciałbym tylko, abyś mi to powiedziała co może być dla mnie użyteczne.... Podpadło ci co u tych ludzi.... jakie słowo? W jaki sposób dokonali porwania?

Odpowiedziała w tej chwili:

— Automobilem... słyszałam, jak o tem mówili.

— W którą stronę jechali?

— Tego, to już nie wiem.

— Nie wyrzekli przy tobie żadnego słowa, któreby mogło nas na ślad naprowadzić?

— Żadnego... Jeden wprawdzie z tych panów mówił: „Nie możemy tracić czasu.... jutro rano o ósmej ma tam do nas patron nasz telefonować...

— Gdzie.... tam?

— To jest... Nie mogę sobie przypomnieć...

— Myśl dziecko... przypominaj sobie... było to zapewne nazwisko miasta, nieprawda?

— Tak... nazwisko zaczynało się na „château...

— Châteaubriant?.... Château-Thierry?...

— Nie... nie....

— Może Châteauroux?

— Tak.... Châteauroux....

Beautrelet nie czekał, aż wypowie ostatnią sylabę. Porwał się z miejsca, a nie troszcząc się ani o Frobervala, ani o dziewczynkę, pobiegł, jak strzała, na dworzec.

— Proszę... o bilet do Châteauroux...

— Przez Le Mans i Tours?

— Naturalnie najkrótszą drogę.... Czy będę na miejscu rano?

— Oh! nie...

— Więc w południe? Na wieczór?

— Ah! nie, w takim razie musisz pan jechać kuryerem przez Paryż... Kuryer do Paryża wychodzi o ósmej.... będzie już zapóźno....

Lecz jeszcze nie było zapóźno, Beautrelet zdążył wskoczyć.

— Byłem tylko godzinę w Cherbourgu, rzekł zacierając ręce z zadowoleniem, lecz godzinę tę dobrze zużyłem.

Nie sądził na chwilę, aby Karolinka miała go okłamać, czytał dobrze w jej oczach wstyd z popełnionej winy, i radość równocześnie, że winę tę w części będzie mogła naprawić. Był pewien, że Châteauroux było to miasto, o którem wspominał Lupin, a dokąd miał przesłać swoim wspólnikom wiadomość telefoniczną.

Gdy tylko przybył do Paryża, Beautrelet przedsiębrał wszystkie ostrożności, aby nie być śledzonym i poznanym. Rozumiał, że to ważna chwila. Był bowiem na dobrej drodze, która prowadziła go do jego ojca, lecz jeden fałszywy krok, a wszystko przepadnie.

Zaszedł do jednego z kolegów uniwersyteckich, po godzinie zaś wyszedł zupełnie zmieniony. Byłto Anglik około lat trzydziestu , ubiór miał bronzowy w kratkę, krótkie spodnie, wełniane pończochy, kaszkiet stosowny do podróży. Twarz umalowana i wązki pas wyżej brody. Wskoczył na rower, do którego były przymocowane wszelkie przybory malarskie i udał się na dworzec Austerlitz.

Nocował w Issoudun. Na drugi dzień rano wsiadł na rower i pojechał do Châteaux. O siódmej poszedł na pocztę prosząc o połączenie telefoniczne z Paryżem. Ponieważ musiał czekać, wdał się więc w rozmowę i dowiedział się, że pozawczoraj o tej samej godzinie, jakiś pan w ubraniu automobilowem, czekał również na połączenie z Paryżem.

Miał więc dowód, o to mu chodziło.

Po południu dowiedział się od pewnych świadków, że jakiś automobil jechał drogą z Tours, przez miasteczko Buzançais, następnie przez Châteauroux i zatrzymał się niedaleko za miastem z brzegu lasu.

(Ciąg dalszy nastąpi).





# Wśród walki z losem.

18) Wolny przekład z angielskiego przez **S. B.**

(Ciąg dalszy.)

Artur spojrzał na nią! Jej surowe oblicze znamionowało charakter silny i nieulękły, i sam sobie w duszy zadał teraz pytanie, dla czego mu nigdy na myśl nie przyszło, iżby ona mogła była popełnić tę zbrodnię i dlaczego jej wieloletnia, wierna służba więcej wobec prawa ważyła, aniżeli młodość i łagodny charakter Heleny, o której nikt nigdy nie pomyślał nic złego, dopóki nie została wdową po Michale Barklay.

— I ona wie o tem? i....

— Ona nic nie wie — nie mam siły jej tego powiedzieć — zawołała — wolałabym umrzeć, niż spojrzeć jej w oczy! Nie zniosłabym jej wzroku. Znienawidzi mię i z odrazą wspominać mię będzie, ale nie prędzej, tylko gdy będę od niej daleko. Dziś jeszcze z ufnością i przywiązaniem przytuli się do mnie, a moja ostatnia myśl w chwili śmierci należeć będzie do niej, bo ją kochałam bardzo i przez miłość dla niej zgrzeszyłam tak ciężko. Ona jedyna na całym świecie, Arturze, zawsze niezmiennie była dla mnie dobrą.

— Dokąd chcesz iść?

— Do jej pokoju. Przecież poczekasz tu na mnie?

— Tak jest, poczekam.

Wyszła z pokoju i ociężałym krokiem wstępowała na schody pierwszego piętra, gdzie się znajdowała sypialnia Heleny. — Kość została rzucona, postanowienie jej było niecofnionem, kielich goryczy, który sobie sama zgotowała, wypić musi do kropli. Jedynem jej pragnieniem było Helenę uczynić szczęśliwą, usiłowania jej spełzły na niczem. Nie pozostawało jej nic więcej, jak wyznać swą winę, by podnieść zasłonę, która posępnym cieniem zawisła nad jej młodem istnieniem, odbierając mu światło i ciepło. Zanim weszła do pokoju Heleny zdjęła z głowy kapelusz i przygładziła ręką rozburzone włosy. Przyćmiona lampa stała na zwykłem miejscu a Helena leżała w łóżku, ale nie spała.

— Czekałaś na mnie — ozwała się stara kobieta starając się nadać głosowi swemu wyraz swobodny.

— Tak, kochana, nie mogłam usnąć. Poszedł już?

— Zaraz pójdzie.

— Nie chce zatrzymać mych pieniędzy, nawet i on wzbrania się dotknąć pieniędzy, które pochodzą odemnie. I on wierzy w moją winę.

— Wkrótce zmieni swój sposób myślenia.

— Chcesz mię uspokoić — rzekła Helena uśmiechając się smutnie.

— Niezadługo dla nas wszystkich nastąpi zmiana. Mam silne przekonanie, że najgorsze już minęło i że odtąd wszystkim nam lepiej będzie.

— Oh, gdyby to było możliwem!

— Jestem tego pewną, a wiesz przecie, że nie jestem wcale pesymistką.

— Czy się czego dowiedziałaś? Czy rzeczywiście usłyszałaś jaką dobrą nowinę?

— Poczekaj tylko do jutra. Nie mogę ci jeszcze nic pewnego powiedzieć, ale jestem tak jakoś dziwnie czegoś uradowana, mam jakieś dobre przeczucie. Dobranoc, kochana, śpij z Bogiem; wszakże nie zapomniałaś w twym wieczornym pacierzu o biednej starej kobiecie?

— O, moja jedyna przyjaciółko! tyś mi jedna i jedyna zawsze wierną pozostała, jakżebym mogła kiedy w mej modlitwie o tobie zapomnieć!

— Niech cię Bóg za to błogosławi.

— Dobranoc, kochana, wszak nie masz mi już nic więcej do powiedzenia? — rzekła Helena obejmując rękami szyję swej wiernej opiekunki i patrząc z miłością w jej stare, mizerne oblicze.

— Nie, moje kochanie.

— Obudź mnie jutro wcześnie Jane, zrobimy śliczną daleką przechadzkę.

— Ach tak, cały dzień będziemy razem.

— Dobranoc, raz jeszcze.

Stara niewiasta była silną do ostatniej chwili i mężnie przetrwała tę próbę. Stałym, pewnym krokiem opuściła pokój, dopiero gdy drzwi komnaty Heleny za nią się zawarły z dziką rozpaczą wzniosła w górę załamane ręce i opuściła na dół bezwładnie. Jak nieprzytomna włożyła kapelusz na głowę i leniwym krokiem poczęła zstępować ze schodów, jakoby we śnie błądziła.

— Jestem gotowa, Arturze.

— Na dźwięk tego głosu ocknął się z ponurej zadumy, a odetchnąwszy głęboko, jak gdyby chciał zwalić z piersi gniotący je ciężar, powstał leniwie i w milczeniu postępował za swą towarzyszką. W przysionku spotkali służącą, mrs. Graves rzekła jej: Wrócę niedługo, ale nie potrzebujesz czekać na mnie, możesz pójść spać.

Na dziedzińcu zwróciła oczy ku oknom Heleny. — Teraz rozpocznie się dla niej nowe życie — rzekła. — Mam nadzieję, że sądzisz tak samo Arturze.

— Tak jest, ja sądzę tak samo — odpowiedział tęsknym głosem.

Jane Graves nie obudziła nazajutrz rano swej młodej pani, jak jej to była przyrzekła. Helena obudziła się sama a wstawszy, ubrała się spiesznie i zeszła na dół. Że i tutaj nie znalazła swej ochmistrzyni, nie dziwiło ją to wcale, gdyż mrs. Graves zwykła była dość często przychodzić dopiero na śniadanie. Wszedłszy do salonu i rzuciwszy przypadkowo okiem w zwierciadło, znalazła powód do nowej troski. Przed kilku zaledwo dniami to samo zwierciadło ukazało jej sympatyczną postać Flory Andison; teraz stała tam inna, której ukazanie się zmroziło krew w jej żyłach, bo połączoną była nierozerwalnemi węzły z wspomnieniami niedalekiej jeszcze, a tak straszliwej przeszłości. Był to Walenty Merrick. Stał z utkwionym w ziemię wzrokiem i zdawał się być bardzo zamyślony.

— Ten człowiek naigrawa się ze mnie — pomyślała, a rumieniec gniewu powlókł jej twarz wybladłą. Ale drugie spojrzenie na stojącego sztywno jak posąg swego śmiertelnego wroga, napełniło ją nowym przestrachem, i pewna, że nie bez ważnego powodu przyszedł, zbiegła szybkim krokiem przez werandę i stanęła przed nim.

— Co mi pan przynosisz? — ozwała się stanowczo przystępując zupełnie blizko — powiedz od razu, jestem na wszystko przygotowaną, bo najgorsze przebolałam już dawno.

— I ja tak sądzę — odpowiedział z powagą, lecz z niezwykłą zarazem uprzejmością. — A za mój udział w nieszczęściu pani przychodzę o przebaczenie prosić.

— O przebaczenie? — powtórzyła machinalnie i z wielkiego zdumienia cofnęła się w tył — pan mię prosisz o przebaczenie?

— Lubo mam to mocne przekonanie, iż wszystko, co się stało, tylko do dobrego prowadziło, że tak moje niegodne podejrzenia jak moja pycha i zarozumienie w mą nieomylność przyczyniły się do tego, by niewinność pani wykazać, czuję wszakże, że w gorliwości mej posunąłem się za daleko, i za ten mój błąd panią z całego serca o przebaczenie błagam.

— Moja niewinność! — pański błąd! — powtórzyła jak echo robiąc za każdem słowem pauzę, jak gdyby jej tchu w piersi zabrakło — więc pan — sam sądzisz, iżem nie popełniła morderstwa?

— Jestem o tem gruntownie przekonany.

— Jestto wpływ zapewne przyjaciela; on pana przekonał.

— Nie, pani, to zeznanie winowajcy, który sam jeden ponosi dzisiaj karę za swą zbrodnię.

— Winowajca sam dobrowolnie wyznał swą zbrodnię? — zawołała — To niepodobna!

— Tak jest wszakże.

— Czy to być może? — wyrzekła zwolna. — Jestem zwiastunowi tej wielkiej nowiny wdzięczna, bardzo wdzięczna.

Podała mu swą wątłą, przezroczystą rękę, którą on ujął nieśmiało i że czcią do ust przycisnął.

— Ona mówiła, że ma jakieś szczególnie dobre przeczucie; gdzie ona jest? Muszę jej poszukać i podzielić się z nią tą szczęśliwą nowiną — zawołała — chociaż ta dla mnie szczęśliwa wiadomość drugiemu nieszczęście przyniosła; zapomniałam o tem w tej chwili — dodała ze smutkiem.

— Kogo chcesz pani poszukać?

— Jane Graves, tej, która mi przepowiadała zawsze, że ten dzień usprawiedliwienia nastąpi.

— Jane Graves odjechała, a mnie polecono. bym oznajmił pani, że...

— Artur Barklay przyznał się do winy! — zawołała. — Tak, dziwnym on też był wczoraj wieczór — mówiła — Pan to musiałeś zauważyć. A Jane Graves jest przy nim! Ach, panie, ona go tak kochała, ona zastępowała mu matkę w dzieciństwie!

— Mrs. Barklay — ozwał się Walenty głosem uroczystym — nie przyszłoże pani nigdy na myśl, że ową zbrodnię popełnić mogła w złości mrs. Graves?

— Nigdy! — wykrzyknęła — Dla Boga! — Czy pan przez to chcesz powiedzieć, że Jane Graves... I jak nieprzytomna potoczyła się na Walentego i nagłym, bezwiednym ruchem uchwyciwszy kurczowo jego ramię, wlepiła w niego wzrok pełen takiego ogromnego przerażenia, iż Walenty, pomimo całej swej przytomności umysłu nie był w stanie dać jej odpowiedzi.

— Przez litość, mówże pan.

— Mrs. Barklay — ozwał się nareszcie — jestto moją smutną powinnością, bym panią na ten cios przygotował. Żałuję, że mimo najlepszej chęci tak niezręcznie wywiązałem się z zadania, ale bądź pani mężną i nie zapominaj, że wszystko to złe prowadzi tylko do dobrego. Jane Graves chce wedle możności naprawić złe, które popełniła. Dobrowolnie wyznała swą zbrodnię i wczoraj wieczór odjechała do Yorku.

— Jej nie ma! Jedynej przyjaciółki, jaką miałam! — Jane! Jane! o powróć! — Tym ostatnim ciosem złamana potoczyła się i byłaby padła u stóp Walentego, gdyby ten w sam czas jeszcze nie był poskoczył, a ująwszy zemdloną silnem ramieniem zaniósł do domu.

Tygodnie mijały za tygodniami, a Helena leżała w śmiertelnej chorobie pasując się ze śmiercią; gwałtowna febra opuścić jej nie chciała. Straszne, okropne obrazy w dzikich, fantastycznych kształtach snuły się przed jej wyobraźnią, nie dając spocząć skołatanej duszy. Długo wisiała pomiędzy życiem a śmiercią, wreszcie ponure widmo ustąpiło od jej wezgłowia. Helena wróconą była życiu, ale umysł jej otaczały cienie, straciła zupełnie świadomość rzeczy przeszłych. Nie wiedziała, kim jest, gdzie się znajduje. Raz tylko w chwili jaśniejszej zdawało jej się, że jakaś postać kobieca z życzliwym i łagodnym uśmiechem zbliżyła się do jej łóżka, potem znów cienie zaległy jej umysł i popadła napowrót w zwykły stan bezprzytomny.

Było to podczas nocy, gdy chora odzyskała wreszcie samowiedzę. I znów ujrzała owo łagodnie uśmiechnięte, macierzyńskie oblicze otoczone wiankiem siwiejących włosów, ale teraz nie wydało jej się ono już tak obcem, jak wówczas. Dzień był, gdy odzyskała nareszcie władzę mówienia.

— Matko, przemówiła osłabionym głosem do staruszki, tak ją nazywając, lecz odpowiedziano jej bardzo łagodnie, że mówić nie powinna i że ma się zachować spokojnie.

Nastały teraz długie dni zupełnej niemocy, podczas których umysł chorej coraz więcej się wypogadzał i wracał do równowagi, a w miarę przybywania sił budziła się ciekawość, kto jest ta stara osoba, co ją pielęgnuje z taką niezmordowaną troskliwością.

Była to niedziela. Helena wiedziała to dobrze, bo słyszała odgłos dzwonów pobliskiego kościoła zwołujących wiernych na wieczorne nabożeństwo, a ona ani razu jeszcze nie opuściła nabożeństwa odkąd jest w...

— Jak się nazywa to miejsce? — zapytała nagle swej dozórczyni.

— St, dziecię, nie tak głośno. Jesteś u siebie, w swym domu. Czyż sobie nie przypominasz?

— W Dornton? — zapytała chora z niepokojem.

— Nie, w Weddercombe.

— Ach tak, teraz sobie przypominam. To mój pokój, a tam zwierciadło, para od tego, które stoi w salonie; przyszła mi dziwna myśl do głowy, by je rozłączać. Miewam czasem osobliwe fantazye, droga pani.

— To nic nie szkodzi, byleś tylko jaknajprędzej wyzdrowiała.

— To ja byłam chorą?

— Tak, ale wyzdrowienie postępuje szybkim krokiem.

— I nie wolno mi mówić?

— Cokolwiek, ze mną.

— Ale pani nie jesteś Jane Graves?

— Nie — była wahająca odpowiedź.

— Tylko Jane Graves ma prawo pielęgnować mię, będzie zazdrosną, gdy panią tutaj zastanie.

— Tak? Ale na dzisiaj dosyć już tej rozmowy — rzekła staruszka — muszę się ściśle stósować do przepisów lekarza; nie zechcesz przecie, by mię wyłajano, że pozwoliłam ci za wiele mówić?

— Nie — odpowiedziała chora potulnie jak dziecko.

— Lecz powiedz mi pani przynajmniej, kim jesteś, że zajmujesz jej miejsce?

— Jestem przyjaciółką i przyszłam pielęgnować cię w chorobie. Nie mogę ci powiedzieć mego nazwiska, zresztą nie wielebyś się z niego dowiedziała. (Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNIK ZWIĄZKOWY
„ZGODA”
ORGAN ZWIĄZKU NAR. POL.
W STAN. ZJEDN. PÓŁN. AM.

Jedyne, polityczne, niezależne pismo polskie za Oceanem, kierujące opinią publiczną i wywierające olbrzymi wpływ na stosunki polsko-amerykańskie

TRZY WYDANIA: **Codzienne wydanie.** Tygodniowe dla mężczyzn. Tygodniowe dla kobiet.

**Dziennik Związkowy „ZGODA“, powinien się znajdować we wszystkich lokalach publicznych w kraju, jako najlepszy informator we wszelkich sprawach odnoszących się do Polaków za Oceanem.**

8 stron, 28 kolumn oryginalnego tekstu codziennie.
Prenumerata wynosi rocznie dol. 4,80 ct. Półrocznie 2,40. Kwartalnie 1,20.
Na żądanie wysyłamy numery okazowe. Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy: Dziennik Związkowy „ZGODA“ 102—104 W. Division str. Chicago, Ill. s. U. S. N. Am.

CYRKULACYA
100,000 EGZEMPLARZY.

Najpopularniejsze Czasopismo w Stanach Zjednoczonych prawdziwie odzwierciadlające życia polskiego w Ameryce. Zasilane stale interesującemi korespondencyami z każdego zakątka emigracyi polskiej w Ameryce. Największy i najstaranniej redagowany dziennik polski na obczyźnie.

---

**Około**
**500**
**gotowych**
# warkoczy
i
**1000-ce**
innych dodatków włosowych stale na składzie poleca



## SALON de PARIS
**St. Kaczmarek**
Rycerska 2, przy pl. Wilhelm.
**Skład fryzyerski tylko dla pań**
**(dla panów osobny skład obok.)**
**Kobieca usługa.** Panie nie potrzebują się więc absolutnie krępować. 449
Brązowe znaczki rabatowe. Zamiejscowym rabat w gotówce.

---

# Świece gromniczne
**w wielkim wyborze**
poleca 437
**po znanych tanich cenach**
detalicznie i hurtownie
## Centralna Drogerya
## J. CZEPCZYŃSKI,
Poznań,
Skład detaliczny: **Stary Rynek 8**
**Telefon 324.**
Magazyny hurtowne: **Południowa 3**
**Telefon 233.**

---

# Wyższa szkoła kroju
# Zofii Szuman
**przy ul. Wilhelmowskiej 19.**
**Oddzielne kursa** dla chcących fachowo pracować.
**Oddzielne** dla uczących się do własnego użytku. 306
Prospekta na żądanie bezpłatnie.

---



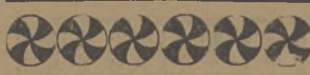
## Kto szuka:
pracy,
posady,
służby,
mieszkania,
zbytu towarów,
reklamy wyrobów
dzierżawy,

## kto potrzebuje:
rządców,
urzędników,
ekonomów,
leśniczych,
pomocników,
pokojówek,
kucharzy.
kucharek,
służby,

## kto chce:
nająć mieszkanie,
kupić lub sprzedać majątki, goścince, handle, gospodarstwa itd.,
pożyczyć pieniędzy, lub podać cośkolwiek do wiadomości ogółu
**najlepiej i najtaniej**
uzyska to przez
# ogłoszenia
# „Pracy.“




pod białym orłem, w Poznaniu
w Rynku 41 282



## Zakład dentystyczny.
Praktykuje od r. 1889.
**Wprawianie sztucznych zębów. Plomby.**
**Zatruwanie nerwów i leczenie chorych zębów.** 107
## J. Czerwiński
**Poznań,** św. Marcin 53.
**Dom ogrodowy I p.**

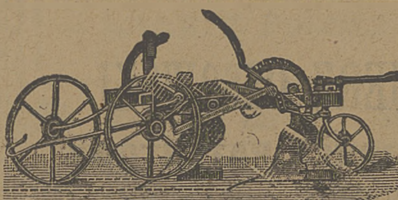


---

**Poznań, Rycerska ul. 15.**
# Zakład leczniczy dla chorych
**na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego** (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** [2
**Kąpiele elektryczne świetlane.**
Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.
**Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.**



# Kasa oszczędności
## Banku Rolniczo-Przemysłowego
## Kwilecki Potocki i Sp.
przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 33



# Pługi
**dwu- i trzyskibowe** pat. Schütz-Bethke najnowszej konstrukcyi. Każdy z tych pługów jest tak urządzony ż w razie potrzeby można go użyć jako dwu lub trzyskibowy. Dotychczas sprzedałem ich przeszło 4000, co najlepszem jest poleceniem. 147

Patentowany pług **„FENIX“** piętrowy samochód, do głębokiej órki bardzo rozpowszechniony. Zaleca się lekkim chodem i szybkim a łatwym sposobem ustawiania głębokości órki.

Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie
Adres do listów: **A. Bryliński Poznań—Posen.**
## A. Brzliński
Adres do telegr.: **A. Bryliński Posen.**
Poznań, ul. Rycerska Nr. 14.
**Telefon Nr. 69.**
**Skład machin i narzędzi rolniczych krajowego i zagranicznego wyrobu. Części zapasowe do pługów i rozm. machin. Pracownia do napraw.**

---


Najtańsze źródło
zakupu materyałów opałowych.


# Bracia Nitschke, Poznań
**Główne biuro**
**przy ul. Piekary 26.**
**Tel. 2189.** 12
I. skład przy ul. Kolejowej obok placu Liwoniusza
II skład przy ul. Jadwigi 18.
Węgle kamienne **1,20** mk. za centnar, brykiety **1,10** mk. za centnar z dostawą do domu.
Na miejscu lub większe zamówienia taniej. Przy zamówieniach zamiejscowych proszę poprzednio żądać oferty.

**Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Pracy.“**



Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.